

KAMENIA KAMENIA

DWUTYGODNIK LITERACKI

LUBLIN

31.XII.1959

Nr 23/24 (189-190)

ROK XXVI

CENA 2 ZŁ

W NUMERZE: Ze wspomnień o Młodożęcu • Z miłości • Gerard Philipe • Krytyka i poezja
• Sprawdzian czasu • List do ojca • Kto powinien zająć miejsce księżnej •
Dyskurs poety • I in.

POWIĄZANIA

JAN NEPOMUCEN
MILLER

Był taki rok — 1927 — gdy cały naród w modlitewnym skupieniu niejako stanął u małej i lekkiej trumny Juliusza Słowackiego, trumny, która do kraju spłynęła Wisłą, przynosząc spoielale na obczyźnie zwłoki poety.

To sprowadzenie zwłok poety do kraju i złożenie ich w krypcie wawelskiej obok zwłok Mickiewicza było epilogowym aktem długiego procesu rewindykacji serca i liry poety, procesu, który się zaczął około r. 1890, przeszedł przez szereg etapów spokrownienia poety z panującym wówczas symbolizmem i impresjonizmem — i zakończył się triumfalną intronią poety na Wawel.

„Tak się matkom wypłaca kraj, gdy proch odniesie”.

Poezja Słowackiego pulsowała wtedy na nowo zbudzonym w niej życiem, była podniecia i zaczęciem nowej wówczas sztuki w Polsce.

I nie było wtedy żadnej zerowej ani piątkowej rocznicy, która by usprawiedliwiała ten akt nowych zaślubin. Odbył się on jednak w powadze i odczuciu, które łańcuchem szczerzego uniesienia spoiło wówczas wszystkich.

Obecnie w tym roku 1959 — w stosunku do daty narodzin i śmierci poety 1809—1849 — mamy „stuprocentowe” zerowe rocznice, uznaliśmy ten rok za „Rok Słowackiego” — lecz przyznać trzeba, że nie wyczuwaliśmy żadnego szczególnego wstrząsu ani uniesienia w stosunku do mającego być uczczonym poety.

Szereg artykułów i wspomnień o poecie uwieńczyła czterodniowa Sesja Naukowa Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, poświęcona twórczości Juliusza Słowackiego w 150 rocznicę urodzin poety.

Z szeregu cennych i wartościowych prac o poecie — odczytanych i przedyskutowanych na tej sesji, pozwolimy sobie tutaj od podmurówanej fundamentalnie, niezmiernie ciekawej — syntetycznej pracy prof. Kazimierza Wyki „Juliusz Słowacki a współczesność” — ze względu na zbieżność tematu niniejszego szkicu z tą pracą.

K. Wyka potwierdza więc i udokumentowuje to słabe zainteresowanie się twórczością Słowackiego w chwili obecnej zarówno u młodzieży, jak i nawet starszego pokolenia, tłumaczy to, usprawiedliwia i szuka racji i podstaw do nowego zbliżenia się do poety.

Stając na stanowisku ściśle naukowym, nie narzuca żadnej z góry uprzedzonej koncepcji, ustala fakty, nie dziwiąc się niczemu, z całym obiektywizmem przedstawia rozwój procesu w ustosunkowaniu się czasów i pokoleń do poety.

Wyrażając niniejszym uznanie prof. K. Wyce za wzorową skrupulatność i obiektywizm w ustaleniu i zgromadzeniu faktów, chciałbym te fakty skomentować jednak trochę inaczej, co pozwoliłoby może na zarysowanie in-

(Dokończenie na str. 3)

Z SZOPKĄ zetknęłam się jako dziecko w domu moich dziadków. Było to w okresie międzywojennego dwudziestolecia i wątpliwe, czy już wtedy istniała w Lublinie, poza tą jedną, jeszcze jakaś druga, choć do czasów pierwszej wojny światowej szopka lubelska była zjawiskiem bardzo popularnym w naszym mieście. Mieszkający na Kalinowszczyźnie murarze, dla których zima stanowiła okres bezrobocia, „dorabiali” sobie szopką od pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia do Gromnicznej (2 lutego). Zawsze podobno można

LUBELSKA SZOPKA Z DAWNYCH LAT

się przesuwać w ich pobliżu. Toteż przezorne panie domu przed rozpoczęciem przedstawienia stawiały sobie zawsze gdzieś „pod ręką” garnuszek z wodą. Pod scenką, we frontowej ścianie, znajdowało się niewielkie zagłębienie,

kosę. Za pociągnięciem sznurka podnosiła i opuszczała zawsze obie ręce jednocześnie wraz z kosą.

Jak były poumierane lalki? Anioł, jak przystało na niebiańskiego ducha, miał białą szatę, skrzydła, gwiazdę nad czołem i długie blond włosy. Tęga Dziwa, Kolędniczka i wszystkie Parobeczki mieli zwyczajne stroje ludowe noszone na podlubelskiej wsi. Kusy Węgier był ubrany w szeroką, szaroburą, nieco obdartą kapotę, szerokoskrzydły brązowy kapelusz, na plecach niósł pęk blaszanych misek i zwój drutów. Grupa krakowska miała oczywiście stroje krakowskie: białe sukmany, rogate czapki, pawie pióra, brząkałki u pasa, kwiatowe spódnice, wyszywane gorsety, wstążki i korale. Bardzo ciekawą postacią był w szopce Gruby Pan, którego prototyp — jeden z bogatych lubelskich kupców, niesłychany żarłok — żył kiedyś ponoć naprawdę. Gruby Pan z szopki ubrany był w sztuczkowe pasiaste spodnie, czarny surdut czy też smoking i cylinder. Innym ciekawym typem był Pan Jabłoński, zubożały dziedzic, który przepił i przejechał cały majątek. Ubrany podobnie jak Gruby Pan, z tym że o ile ten ostatni był bardzo wysoki i posiadał niesłychanie wielki brzuch, o tyle Pan Jabłoński był chudy i nieduży. Żyd miał pejsy, liliśną czapkę, chałat i białą futra w rękę. Kozak — pasowe hajdawery i papacę. W szopce nie zabrakło też lubelskiej przekupki — Koguciny, marzącej o bogactwach. Miała lubelską spódnice, kwiatowy kaftan i biały czepek. Dziadek występujący na zakończenie odziany był w lataną, siwą kapotę. Do obu rąk przyczepiony miał konopny worek, do którego widownia wkładała na zakończenie przedstawienia pieniądze.

Pozostaje jeszcze do omówienia literacko-muzyczna strona szopki. Niestety, te teksty, które znam i które przytaczam poniżej, nie są kompletne. Przyczyna tego jest prosta. Szopka, z którą się zetknęłam, powstała w ten sposób, że dziadkowie, chcąc zrobić przyjemność swoim dzieciom, których mieli niemałą gromadkę, wystarali się od znajomego murarza o teksty, a następnie w zimowe wieczory zrobili sami szopkę i lalki, będące oczywiście wierną kopią tych murarskich. Ponieważ jednak część tekstów była nieco niecenzuralna, więc dziadkowie po prostu, ze względu na dzieci, pominieli je. Dlatego np. nie znam dalszego ciągu piosenki o kozaku, ani też jeszcze kilku postaci, które podobno w oryginalnej szopce występowały.

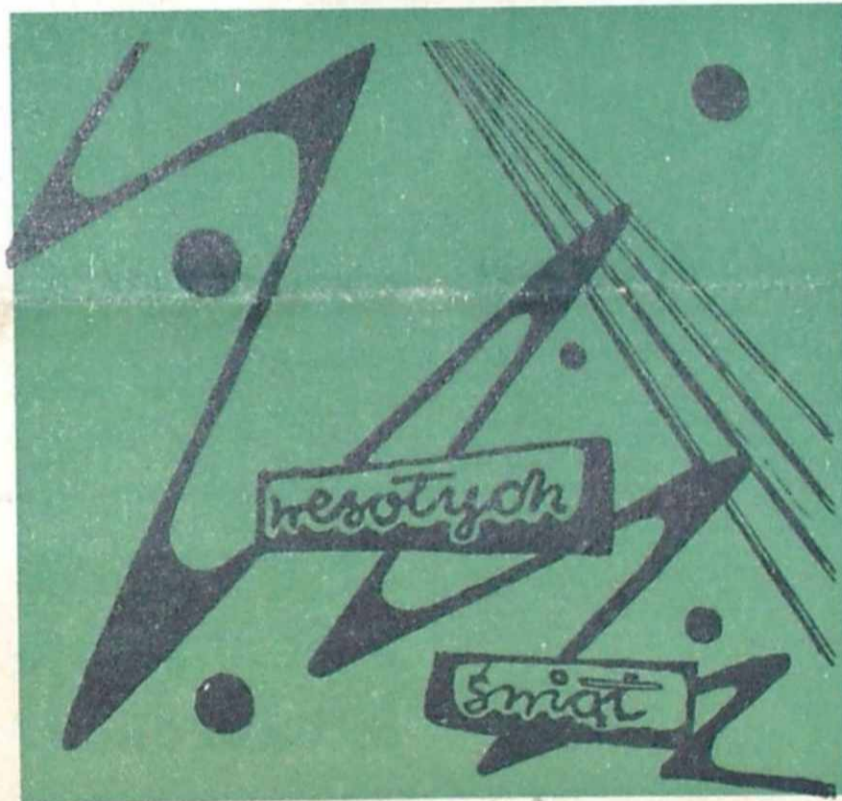
Co do strony muzycznej, to większość piosenek śpiewana jest w tempie poloneza czy oberka. Grupa krakowska śpiewa oczywiście krakowiaki. Kozak — trepaka. Niemiec — coś w rodzaju sztajerka.

A całe przedstawienie wyglądało tak:
Na scenkę wchodzi Anioł i mówi:

Anioł:

Szczęśliwi ziemianie nie trwóście się wiele,
Oto opowiadam wam wielkie wesele:
W mieście Dawidowym Chrystus się narodził,

(Dokończenie na str. 6—7)



ich było spotkać stojących pod Bramą Krakowską z szopką i pudłem lalek. Lubelscy mieszczenie chętnie zapraszali ich do domów, gdzie za drobną opłatą murarze dawali przedstawienia ku wielkiej uciechy dzieci, które w owych czasach tak mało miały atrakcji.

Lubelska szopka (domek ze scenką) nie była architektonicznie tak bogata, jak jej krakowska siostrzyca. Zielony, prosty dach o dwu spadach, oklejony błyszczącym, „glansowanym” papierem, ściany obite papierową, wzorzystą tapetą. Jaka jeszcze dziś można spotkać na niektórych podlubelskich wsiach. Scenka miała szerokości około pół metra, 40 cm wysokości i 30 — głębokości. W tylnej ścianie, prawie pgd „sufitem”, było wycięte dość duże serduszko, przez które widziadło się wazy i kawałek nosa mówiącego oraz śpiewającego za lalki murarza. Trzeba bowiem dodać, że „ludzka” obsada lubelskiej szopki stanowiła jedna osoba. Kobięce role murarz śpiewał cieniutkim głosem, męskie — grubym.

Po obu stronach scenki były po dwa wejścia, przedzielone tekturową kolumnką. Aby zaś scenie i lalkom zapewnić należyte oświetlenie, po bokach znajdowały się okienka wyklejone pomarańczową lub czerwoną bibułką. Na ich „parapetach” stały zapalone świeczki stanowiące prawdziwe niebezpieczeństwo dla lalek, które wychodząc na scenkę przednim wejściem musiały

a w nim wycięte z kartonu postacie z betlejemskiej stajenki.

W podłodze scenki robiono nacięcia, w które wsuwano druty poruszające lalkami (druty te pochodziły np. ze starych parasolek).

Same lalki były nieduże, miały około ćwierć metra wysokości. Korpusy razem z nogami były wstrugane z jednego kawałka drzewa. Główni wszystkie jednakowe wykonanie Heroda, Śmierci i obu Diabłów. Herod miał głowę celuloidową, przeciętą tuż pod brodą. Jej piorunujący efekt polegał na tym, że w chwili gdy Śmierć machała kosą, głowa ta, dzięki pociągnięciu za drucik dyndała się na jednej nitce łączącej ją z sztycją. Szopka posiadała dwu Diabłów: jeden był czerwony, drugi czarny. Obaj nadzy, pomyślnie wyciosani z drzewa, z haczykowatymi nosami z drutu. Ręce mieli przymocowane dość luźno, tak że przy każdym gwałtowniejszym ruchu machali nimi w przód i w tył. Diabeł Czerwony miał ponadto „skrzydła pajęcze” z czerwonej bibułki. Diabeł Czarny trzymał w jednej ręce druciane widły, w drugiej zaś groźnie brzęczący pęk łańcuszków.

Śmierć wykonana była podobnie, z tym że do pomalowania jej użyto białej farby, a w obu rękach trzymała

PAMIĘCI profesora BIERNACKIEGO

Profesor Biernacki był wybitnym przedstawicielem polskiej szkoły matematycznej, a szkoła ta — jak wiadomo — zajmuje poważne miejsce w nauce światowej. Był Profesorem Biernacki twórczym matematykiem, którego prace stanowią znaczny i istotny wkład w rozwój nauki w skali międzynarodowej; był w ciągu swej wieloletniej działalności uniwersyteckiej — w okresie międzywojennym w Poznaniu, po wojnie w Lublinie — pedagogiem, który wychował kilka pokoleń matematyków-naukowców. O randze naukowej Zmarłego świadczą nie tylko jego własne wyniki, ale także wyniki jego uczniów i wychowanków, działających na większości polskich uniwersytetów. Podajmy tu fakt jeden, ale znamienity i dobitny: sam Profesor Biernacki był laureatem Nagrody Państwowej i wśród swoich uczniów dochował się już także laureata, co jest wypadkiem dosyć wyjątkowym.

Ala oceną dorobku naukowego Profesora zajmują się pisma specjalistyczne: na łamach „Kamery” chcielibyśmy mówić przede wszystkim o Profesorze Biernackim jako o człowieku.

Mieczysław Biernacki nosił nazwisko dobrze znane w Lublinie: był synem popularnego i powszechnie szanowanego lekarza, filantropa, działacza kulturalnego; w uznaniu rozlicznych zasług doktora Biernackiego miasto nadało jego imię jednej ze swych ulic, a także Szpitalowi. Tak więc Profesor Biernacki był związany z Lublinem zarówno pochodzeniem, jak spędzoną tu pierwszą młodością, i tym więzom emocjonalnym nigdy się nie sprzeniawierzył. Studia rozpoczął na Uniwersytecie Jagiellońskim, tytuł doktorski zdobył na Sorbonie, w latach międzywojennych wykładał w Poznaniu, ale gdy po wojnie otworzyła się możliwość pracy naukowej w Lublinie — tu zaczął tworzyć „z niczego” katedrę matematyki na Uniwersytecie Marii Curie Skłodowskiej, tu pozostał, mimo że przy swej randze naukowej mógł bez trudu — jak uczyniło to wielu innych — przenieść się do któregośkolwiek bardziej atrakcyjnego, głośniejszego ośrodka.

Ten, dosyć dzisiaj niepowszedni, patriotyzm lokalny Profesora Biernackiego łączył się niewątpliwie z dwiema podstawowymi cechami jego charakteru: ogromną skromnością a równocześnie wyjątkową obojętnością na zaszczyty zewnętrzne. Profesor Biernacki należał do tych, jakże nielicznych ludzi, którzy przywiązują wagę tylko do wartości istotnych, odrzucając, pomijając wszystko co powierzchowne, obliczone na efekt, błyskotliwe a tanie. Można powiedzieć, że Profesor Biernacki był ucieleśnionym zaprzeczeniem tak powszechnego w naszych czasach hochsztaplerstwa intelektualnego. Świadomy przecież swej pozycji intelektualnej i autorytetu, jakim się cieszył — nigdy nie wysuwał się naprzód, wprost przeciwnie, odrzucał lub przemilczał wszelkie zewnętrzne atrybuty swej pozycji w świecie nauki. I znów podamy fakt jeden, ale jakże wymowny. Latem tego roku Profesor na wniosek Instytutu Matematycznego PAN został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. W swej skromności tak dalece nie o tym w Lublinie nikomu nie wspominał, że w związku z 15-leciem Uniwersytetu podano Go do tego samego odznaczenia — po raz drugi.

Ta skromność i prostota Profesora znajdowała wyraz w jego codziennych kontaktach z współpracownikami, wśród których, w warunkach młodego Uniwersytetu, większość stanowią ludzie młodzi wiekiem i stażem naukowym. Profesor Biernacki traktował swych młodych kolegów na płaszczyźnie jakiejś zupełnej równości, a równocześnie otaczał ich poczuciem, a w wielu wypadkach — pierwszemu kroki naukowe, opieką równie pieczołowitą jak taktowną, nie dając nigdy odczuć jak swej wyższości intelektualnej. Był inspiratorem, kierownikiem, przyjacielem. A ta opieka, ta życzliwa przyjaźń dotyczyła nie tylko spraw naukowych, ale była niezawodna także w każdej trudniejszej sytuacji życiowej współpracowników. Gdy ktoś z matematyków lubelskich miał jakiś osobisty kłopot czy zmartwienie — mógł z całą pewnością liczyć na pomoc Profesora, jeśli tylko udzielenie tej pomocy leżało w Jego możliwości. W takich razach nie szczędził sił ani czasu. Ze szcze-

gólną wdzięcznością wspominamy, jak kiedyś, gdy zachorował nasz mały synek, Profesor Biernacki, mimo rannej pory, z całą gotowością i gorliwością zajął się ułatwieniem nam kontaktu z trudno osiągalnym lekarzem-specjalistą... I jeszcze jeden rys drobny, a charakterystyczny i wiele mówiący. Profesor Biernacki nie miał w mieszkaniu telefonu. Wchodziły tam w grę jakieś trudności techniczne, ale niewątpliwie autorytet Uniwersytetu i samego Profesora byłby te trudności pokonał, tylko że Profesor tego autorytetu w sprawie osobistej używać — nie chciał, nie bacząc, ile mu to przysporzy uciążliwych wędrowek do Zakładu czy nawet do mieszkań młodszych współpracowników, jaką będzie utratą naprawdę cennego czasu.

Obok tej swojej skromności i prostoty, był Profesor Biernacki człowiekiem stanowczym i bezkompromisowym, a zarazem wzorowo obiektywnym, gdy szło o sprawy zasadnicze. I dlatego z taką uwagą słuchali Jego głosu koledzy-profesorowie z Wydziału oraz władze uniwersyteckie, dlatego takim poważaniem cieszył się we wszystkich środowiskach, gdzie tylko znano Jego niepozorną postać i wielkiego ducha.

Profesor Mieczysław Biernacki był wybitnym uczonym, był dobrym, mądrym, prawym człowiekiem. Niewielu jest ludzi, w stosunku do których te określenia mają pełne pokrycie. W stosunku do Niego — miały. Z Jego śmiercią lubelskie środowisko uniwersyteckie, środowisko kulturalne poniosło stratę, którą odczuwać będzie długo i dotkliwie.

Anna i Krzysztof
Tatarkiewiczowie

ZYGMUNT KLUKOWSKI

Trudno pisać o człowieku, któremu wszystko niemal się zawdzięcza: życie, krystalizację zainteresowań, pomoc w chwilach kryzysu i załamań, życzliwą radę w momentach wahań i rozterek... Siwy Doktor ze Szczebrzeszyna więcej pozostawił podobnych dłużników. Dłużników — siłą faktu — niewypłacalnych.

Zrozumieć tajemnicę Jego niezwykłej osobowości, wykryć źródło Jego fascynującej siły i wpływu, jaki wywierał na otoczenie — to zadanie jego przyszłych biografów: psychologów, socjologów, historyków kultury. Dziś zaryzykować jedynie można próbę schematycznego, z natury rzeczy, scalenie najbardziej rzucających się w oczy przesłanek, by ewokować najbardziej ogólny i uproszczony obraz Jego sylwetki.

Wydaje się, że szyfru tłumaczącego tajemnicę Jego niezwykłej indywidualności szukać należy przede wszystkim w specyficznych warunkach i specyficznych, jedynych w swoim rodzaju doświadczeniach, jakie stały się udziałem niewielkiej grupki inteligencji polskiej w ostatnim ćwierćwieczu ubiegłego stulecia. Mam tu na myśli bolesny, często przymusowy exodus najbardziej prężnych i najbardziej wartościowych jednostek z Królestwa w głąb carskiej Rosji. Ci z nich, którzy nie ulegli asymilacji, wypracować musieli wyjątkowe predyspozycje, pozwalające im na stworzenie specyficznej aury, otoczki psychicznej o niezrozumiałej dla nas prężności i sile oddziaływania.

W podobnej aurze wzrastał Zygmunt Klukowski i aura ta kształtowała od lat najmłodszych Jego osobowość: Jego nawyki, upodobania, zamiłowania, przyzwyczajenia, sądy i opinie. Urodzony w 1885 roku w Odessie, w rodzinie magistra farmacji, dzieciństwo swe, młodość i pierwsze lata studiów spędził w środowisku najbardziej aktywnej Polonii moskiewskiej, w którym Jego starszy brat — Julian, współtwórca fundacji Biblioteki Polskiej w Moskwie, odgrywał niepoślednią rolę.

Zygmunt — wychowany w wysublimowanym, wciąż podsycanym kulek wszystkiego co polskie, ojczyste i ogólnoludzkie — wyniósł z tego środowiska żywe zainteresowania problematyką społeczną, gorące umiłowanie nieznanego Ojczyzny oraz sympatie lewicowe. Zapłacił wkrótce za nie gorzkimi doświadczeniami więziennymi.

W roku 1918 zaczął wreszcie wcielać w życie i realizować w codziennej praktyce, w wolnej już Ojczyźnie, te

wszystkie ideały, które ukształtowały Jego dzieciństwo i lata młodzieńcze. Owe dynamiczne, zawsze ofensywne miłości człowieka, owemu żywemu zaangażowaniu skromnego lekarza prowincjonalnego zawdzięcza życie dziesiątki i setki ofiar epidemii tyfusowej z roku 1919. Po kilku tygodniach beznadziejnej walki szczebrzeszyski Judy sam stał się z kolei pacjentem. Po wyzdrowieniu, jako pierwszy zgłasza się do dyspozycji Naczelnego Nadzwyczajnego Komisariatu do Walki z Epidemiami.

Przychodzą lata ofensywy kulturalnej. Doktor Klukowski zawsze jest w pierwszej linii. Wystawa polskich druków. Koło Miłośników Książki. Organizacja Muzeum Zamojskiego. A jednocześnie ciągłe publikacje prac z zakresu medycyny.

W 1925 roku odrzuca pierwszą propozycję habilitacji (propozycje te odrzuca systematycznie aż do roku 1939). Przyjaźń z Leśmianem i Młodożeńcem. Wykłady w miejscowym seminarium. Organizowanie czytelnicy zamojskiej. Przygotowywanie ogólnopolskich zjazdów i konferencji naukowych, aktywne w nich udział. Wydawnictwo exlibristów zamojskich. Utworzenie i redagowanie „Teki Zamojskiej”. Walka o gimnazjum w Zamościu...

Okres okupacji — to okres wyzwolenia nowej energii i żywiołowej aktywności pamiętnikarskiej, konspiracyjnej, lekarskiej i historyczno-naukowej. Doktor Klukowski zbiera materiały i dokumenty oskarżające hitlerizm, przechowuje i leczy partyzantów, utrzymuje swe przedwojenne, naukowe i literackie kontakty.

Po wojnie tworzy „Wydawnictwo Materiałów do Dziejów Zamojszczyzny w Czasie Wojny”, spełnia jednocześnie funkcję biegłego i świadka w licznych procesach zbrodniarzy hitlerowskich. Znów leczy, pisze, wydaje, organizuje...

Przeszkadza mu ciężka choroba, siły zalamują bolesne przeżycia osobiste. Mimo to:

„Świeci i podpala, budzi i ożywia,
jest ogniskiem miasta, w którym pracuje od lat...”

Zawsze niezmordowany, pełen sił, inicjatywy, przedsiębiorczości, dalej zbiera wszystko, co jest głosem mionych lat, co jest świadectwem wielkiego bólu i wielkich porывów, co jest przyczynkiem do historii... *)

Odszedł, lecz pozostanie na długo w pamięci i wspomnieniach, na zawsze w swych książkach.

Zbigniew Jakubik

*) Jan Wiktor — „Kłosy na ściernisku”.

Ze wspomnień o Stanisławie Młodożeńcu *

ZYGMUNT KLUKOWSKI

Na jesieni 1924 r. przybył do Zamościa jako nauczyciel języka polskiego do gimnazjum męskiego Stanisław Młodożeniec, poeta znany ze swoich utworów futurystycznych, autor „Kressek i futuresek” i współtwórca „Nuża w bżuchu”. Wstąpił on do Koła Miłośników Książki i bardzo ożywił nasze zebrania.

Sprowadzenie go do Zamościa było zasługą dyr. Lewickiego, który pomimo całej swej konserwatywności był człowiekiem nowoczesnym, nie obawiał się polonisty obciążonego stemplem futurysty. I nie zawiódł się, bo Młodożeniec okazał się bardzo dobrym nauczycielem, jego sława poety przyczyniła się niemało do poruszenia umysłów uczniów klas wyższych, wzmożyły się zainteresowania literackie, zakwitło słowotwórstwo. Niestety, był on w Zamościu tylko jeden rok szkolny, po czym przeniósł się do Warszawy.

W r. 1925 Koło Miłośników Książki zdobyło się na pewien wyczyn świadczący o naszej żywotności. Wypuściliśmy mianowicie w świat własnym nakładem pierwsze nasze wydawnictwo bibliofilskie. Był to tomik poezji Stanisława Młodożeńca pt. „Kwadraty”. Mieliśmy z tym dużo kłopotu i zacho- du, zwłaszcza, że chcieliśmy nadać na-

*) Wyjątek z pamiętnika

BRONOWICKI eksperyment

Jeszcze latem zeszłego roku był to bardzo nieapetyczny sklep „Warzywa i owoce”. W hallu i korytarzu wiodącym do tego przybytku Hermesa cuchnęło kiszonymi jarzynami, piwem, tanim winem i stęchlizną.

Piętro wyżej (wejście z tej samej klatki schodowej) działała jako jedyny ośrodek kulturalny wypożyczalnia książek — jedna z filii Biblioteki im. Łopacińskiego, ciesząca się wielką popularnością i frekwencją przede wszystkim ze względu na bogaty księgozbiór, a także ze względu na miłą i energiczną kierowniczkę Jadwigę Racką oraz jej współpracowniczkę. Istniała też czytelnia dziecięca i „klub młodzieżowy”.

Właśnie ten „klub” budził wśród mieszkańców ZOR-Bronowice w Lublinie największe zastrzeżenia.

Mieścił się on po prostu w dużej, przechodniej sali, z której drzwi prowadzą do czytelnicy i wypożyczalni. Codziennie przechodziło tędy setki osób. Jego całe wyposażenie stanowiło kilka nie pierwszej już świeżości stolików i krzeseł oraz półka na czasopisma. A jego bywalcy to grupa wyrostków różnych w karciecie.

Docierało też do „klubu” 1—2 razy w tygodniu kino objazdowe. To nic, że filmy były stare i ograne w wszystkich ekranach. Sala bywała zapchana ludźmi spragnionymi rozrywki, których brak tak dotkliwie dawał się we znaki mieszkańcom osiedla. Przecież kilka tysięcy ludzi było skazanych, jeżeli chodzi o rozrywkę tzw. kulturalną, jedynie na radio, Teatr, kino — te najpopularniejsze w Polsce przybytki muz, były dla przeciętnego mieszkańca ZOR-Bronowice rzeczą naprawdę trudno dostępną. Nie chodziło tu już o bilety — można je było kupić w przedsprzedaży. Ale dostać się do centrum miasta w możliwie niewygniecionym, nieobdeptanym i nieprzemarzniętym stanie, a na dodatek punktualnie na wyznaczoną godzinę, to stanowiło (i niestety stanowi nadal) już nie sztukę, ale arcysztukę.

(Dokończenie na str. 11)

szemu wydawnictwu wszystkie cechy druku regionalnego. I to nam się udało. Autor, nauczyciel zamojskiego gimnazjum, był członkiem naszego Koła, barwną okładkę rysowała jego żona, p. Wanda Młodożeńcowa, też nauczycielka w Zamościu, druk wykonał na ręcznej maszynie Ryszard Ostrowski w swojej małej drukarni akcydensowej. Wiele godzin spędziliśmy razem z nim i z Młodożeńcem nad ułożeniem graficznym każdej stronicy, pamiętając, że to są „kwadraty”, a ponieważ czonek, jakie wybraлиśmy, było bardzo małe, więc trzeba było każdy arkusz parę razy brać pod prasę. Kto choć trochę zna się na drukarstwie, ten zrozumie, jak mozolna i żmudna to była praca. Lecz trudu nie żałowaliśmy, bo drukczek wypadł wcale ładny. Część jego wydaliśmy na ręcznie czerpanym papierze. Świat bibliofilski przyjął go bardzo życzliwie, a zbieracze druków wytwornych natychmiast wcieliłi nasze „Kwadraty” do swoich zbiorów.

Kilka końcowych wierszy zadedykował Młodożeniec „Bibliofilom w Zamościu”. Wiersz pod tytułem „Ranek u bibliofila” jest do pewnego stopnia echem jednego z naszych sympozjów u mnie w mieszkaniu, podobnie jak i „Pochwała prowincji”.

RANEK U BIBLIOFILA

Już lampy patrzeć nie mogą —
to brzask im oczu przewierca —
cichość krzycząca swój ogon —
po miękkich wlotczy kobiercach.
Świt żarłocznymi ustami
przez okna przegrzuja plafon —
w plafonie oczy ustawił —
Kot przyczajony za szafą.
Ugina się ciężki fotel —
z okiem utkniętym w inicjał —
błyszczący stanął za płotem —
i patrzy dzień — jak policjant.
Szamocą się białe kruki —
do szaf szukają powrotu
już z przerażliwym upadł hukiem —
pięścią do drzwi załomotał.
Oko powlokło się szklivem —
zmatowiał krwawy inicjał
co było żywe-nieżywe —
Policja! — Policja!

POWIĄZANIA

O losach Polski, mówi się, rozstrzygały te same przyczyny, które decydowały o losach innych ludów. Nie jesteśmy, nie byliśmy niczym osobliwym — po cóż nam więc Słowacki z jego mesjanicznymi i mistycznymi urojeniami?

nego trochę obrazu w ustosunkowaniu się chwili obecnej do omawianego poety i jego rocznicy.

K. Wyka cytuje m. in. opinię Jarosława Iwaszkiewicza: „Rytm naszych czasów nie współdziała z rytmem jego (Słowackiego) wierszy” — jako typową dla ustosunkowania się chwili obecnej do Słowackiego. Wskazuje wprawdzie na kilka odmiennych ustosunkowań się innych znanych pisarzy, lecz bodaj że opinia J. Iwaszkiewicza i równie krytyczna M. Jastruna wydaje mi się najbardziej charakterystyczna i pokrywa się również z obójnym lub cynicznym stosunkiem grup młodzieży do tej sprawy.

Bo młodzież nasza, plawiąca się już od lat najmłodszych bez braku i wyboru we wrażliwości erotycznych, zubożała na wszelkie inne sprawy tego świata i zaczyna patrzeć na wszystko z aroganckim nihilizmem, akcentując utylitarystyczny punkt widzenia — nie dziwnego, że dla niej wszelkie romantyczne uniesienia są bzdurą i urojeniem wobec uroku najbliższego posiadka, o który się ociera.

K. Wyka nie ma pod tym względem żadnych złudzeń, wskazując na to, że retoryka romantyczna niepotrzebna jest pokoleniu, które się porozumiewa „gestem i pomrukiem”.

Potwierdzając to stanowisko, chciałbym jednak zaznaczyć, że z tych odruchów pseudoracjonalistycznych, a ściślej prymitywnie zmysłowych i utylitarystycznych pewnych grup młodzieżowych, z tego, jak się wyraża K. Wyka, „smarkatego nihilizmu” nie należałoby wywnosić zbyt daleko idących wniosków. Po pierwsze — tę młodzież wychowaliśmy sami, kultywując pewne składniki jej psychiki, zabijając inne, mamy więc dzieło własnych rąk przed sobą, nie dziwny się, że jest ono takie, jakie jest. Niech nas nie drażni fakt, że dzieło to uznano za stosowne nagłe się na nas i na dzieło Słowackiego „wypupić”... Nie mogło być inaczej. Przyczyna ma to do siebie, że zwykle rodzi skutek.

Przypomnę jednak tytułem riposty — po wtóre — że na tak zachwalaną i eksponowaną w dziejach naszej literatury „Ode do młodości” młodzież ówczesna w postaci Filomatów — towarzyszy Mickiewicza „wypupiała się” również, uważając ją za jakieś niepojęte „fantasma”...

Jeden tytuł wychowany na Schillerze Malewski ocenił „Ode” należy-

cie, przy sposobności przypinając wzorzystą łatkę towarzyszom młodości Mickiewicza: „Z was żaden (tego wiersza) nie zrozumie. Takich wierszy nie znajdziesz na karmelku”. Niezbyt wysokie musiał mieć więc pojęcie o wrażliwości estetycznej przyjaciół i rówieśników Mickiewicza, których my — w perspektywie historycznej — uważamy za wcielenie ideałów „Ody do młodości” i reprezentantów epoki.

Nie przeszkadzało to jednak temu samemu pokoleniu młodzieży po latach kilku zrealizować hasła tej „Ody” z bagnetem w ręku w czasie Nocy Listopadowej, zdobywając Belweder i przepędzając tyrańca.

Nie sądzę więc, żeby te czy inne odruchy tej młodzieży miały znaczenie większe niż jakieś przygodne testy czy grupowa ankieta, ważna może z tych czy owych względów dla badań psychologicznych okresu pokwitania czy przekwitania płciowego, lecz nie dla historyka literatury czy taksatora kierunków artystycznych.

Zywości czy aktualności sądów kulturalnych, czy siły nośnej poezji — w ten sposób się nie wyceni, zwłaszcza że reakcje tego typu nie mają nic wspólnego z samoródtwem lub jakimś automatyzmem dziejowym, lecz są aż nazbyt zrozumiałym skutkiem wprawionych w ruch przyczyn i bodźców psychicznych.

Do Słowackiego można podejść od strony tematyki i dorobku myślowego, można też podejść od strony osiągnięć formalnych.

Dorobek myślowy poety w postaci przewodnictwa w dążeniu do niepodległości i wolności wydawałby się wyzerpany i nieaktualny już w okresie dwudziestolecia minionej niepodległości — podobnie jak i teraz.

Nie ludźmy się jednak, że tematyka ta straciła na aktualności w okresie międzywojennym czy obecnie. Po wsze czasy i w każdej epoce toczy się walka między „uniwersaliami” a „realiami”, między ideą a jej realizacją, pojęciem a jego kształtem konkretnym, treścią a formą. Idea walki wyzwolenczej, której chorążym i apostołem był Słowacki, mija się obecnie z warunkami historycznymi, w które

oprawiał ją w swoim czasie poeta, — lecz pozostaje żywa jako myśl i uczucie, jako siła żywa tego nienasyceńca, którego nie zdołaliśmy wyżyć, którym nie zdążyliśmy się nasycić w realnych formach swego sezonowego półistnienia.

Argument więc o zdeaktualizowaniu się ideologii patriotycznej i demokratycznej poety ze względu na odrodzenie niepodległości i socjalizację społeczeństwa jest nader problematyczny. Czy idea, a więc dzieła Marksa, Engelsa, Lenina stały się mniej aktualne teraz — w okresie realizacji tych idei niż poprzednio, gdy były tylko zarzewiem i zarysem myślowym realizującego się planu uspołecznienia?

Sądzić by raczej można, że długo jeszcze — w bezklasowym, komunistycznym społeczeństwie przyszłości — dzieła klasyków marksizmu, będące teorią i podmurówką myślową realizowanego planu przebudowy społeczeństwa, pozostaną takim wzorcem idealnym załamującym się w pewnych kształtach konkretnych — z tych czy innych powodów — myśli, której ad kwatnego, dorównanego wcielenia ludzkości długo jeszcze będzie można szukać.

Mówiąc o dezaktualizacji jakiegoś pierwowzoru myślowego, dajmy na to — dzieła Słowackiego, w momencie wcielenia jego patriotycznej, demokratycznej i postępowej ideologii — wydaje się grubo przedczesne. Czy Zeromski np. złamał swoje „niepodległościowe” pióro w momencie uzyskania przez Polskę jej sezonowej niepodległości? Napisał wtedy „Wiatr od morza” i „Przedwiośnie” — dzieła, którymi gruntował nową, konkretną formę zbył wyidealizowanej uprzednio idei niepodległości.

Wydawać by się mogło, że moment realizacji właśnie sprzyjać powinien zestawieniu formy konkretnej z samym jej pojęciem, można by więc sądzić, że sytuacja dziejowa raczej powinna zbliżyć nas niż oddalać od Słowackiego.

Coś podobnego można by powiedzieć o stosunku do postawy romantycznej, reprezentowanej przez poetę.

Czy jest ona istotnie aż tak nieaktualna?

dziny racji państwowości. Losy indywidualne ludzi wplecione zostają już w mechanizm społeczny. Książki, jak Romans Teresy Hennert czy Granica zagadnienia moralne jednostki uzależniają od określonego ustroju w kraju.

Pojawiają się w utworach dcjrzałej autorki słowa dawniej nieznanne, jak ojczyzna, państwo, komunizm. Równolegle płynęły nurt pasji Nałkowskiej, dziedzińska sprawy przeżyć kobiety w stosunku do mężczyzny, podjętych w Niedobrej miłości, dramacie Dom Kobiet i tyłu jej książkach. Obsesji tego tematu zawdzięczamy niejedną piękną stronę opisu miłości, której Nałkowska wydaje się być znawczynią.

Ostatnie lata przed drugą wojną poświęca (Nałkowska rozprawom teoretycznym dotyczącym współczesnej literatury. Wydane po śmierci autorki w tomie Wzidzenie bliskie i dalekie pozwalają się zapoznać z jej poglądami na sztukę. Najwyższym na drodze intelektualnej osiągnięciem Nałkowskiej jest powieść Niecierpliwi, studium tragiczne nad człowiekiem obarczonym dziedzictwem samobójstwa. Książka ta, wydana tuż na progu drugiej wojny, zaprowadziłaby zapewne twórczość Nałkowskiej w centrum zagadnień filozofii istnienia. Może zbliżyłaby się ona do światowej sławy współczesnych literatów...

Druga wojna, jej groza musiała stłumić u Nałkowskiej te wątki na korzyść moralnych ocen. Tak powstało niejako testamentowe dzieło (choć rozmiar jest tak niewielki) Medaliony, gdzie Nałkowska osądza zbrodnie ludzkości i daje jakże mistrzowsko powściągliwy wyrok potępienia.

Śmierć nagła przerwała rozwój dalszy pisarstwa autorki Węzłów życia. Nie wiemy, czym by się jeszcze okazała Nałkowska w następnej erze przemian. Sądzę, że po chwilowej przerwie wrócił do Nałkowskiej książek jej zwolennicy, których poclagać będzie rozum intelektu, doskonały smak reakcji artystycznej i wysoce humanistyczne spojrzenie.

Czy wskazane powyżej i cytowane przez K. Wykę przejawy zubożenia całkowitej młodzieży na orok czy wartości poezji Słowackiego nie są czasem świadectwem pewnych luk i wyłomów w jej psychice, tłumaczących nam wiele form aktualnych wypaczeń i nienajwyższego zgoła poziomu kultury pewnych grup społeczeństwa?

W związku ze zmianą po wojnie pochodzenia społecznego kształcącej się młodzieży można by, powołując się na świeżo wydaną pracę St. Bałeya „Wprowadzenie do psychologii społecznej”, umotywić te sądy młodzieży w inny nieco sposób. St. Bałey, cytując prace niemieckich psychologów G. Dehna i H. Junga, wskazuje na to, że „młodzież pracującą charakteryzuje przede wszystkim zainteresowanie sprawami praktycznymi, obce młodzieży burżuazyjnej. Nie mówi ona sentymentalnych, romantycznych nastrojów, nie zachwyca się pięknem przyrody, traktując zjawiska przyrodnicze z punktu widzenia utylitarystycznego” (str. 183).

Smak więc estetyczny tej młodzieży nie byłby wynikiem jakiejś zmiany prądów epoki, lecz jest uwarunkowany przez braki i wynaturzenia, odziedziczone po ustroju kapitalistycznym. I nie stoi na zawadzie przypuszczeniu, że w miarę rosnącego materialnego dobrobytu w warunkach postępującej socjalizacji społeczeństwa, ten cyniczny sąd młodzieży nie mógłby ulec zasadniczej zmianie.

Trudno więc na nim opierać sądy o zasadniczym ustosunkowaniu się epoki do jakichś form, w danym wypadku romantycznej sztuki.

Do Słowackiego zresztą w chwili obecnej możemy podejść i z innej zupełnie strony. Pewien model poety — z odłamaną głową i rękoma, jak ocalałe w rumowiskach posągi antyczne — został uznany przez naszą krytykę przed kilku laty — w granicach dającego się uwidocznnić w pewnych utworach realizmu poety. Był to model zresztą nader ułamkowy i kaleki.

Nie bez najgłębszej słuszności jednak badacz cudzoziemski jego twórczości (J. Bourilly: „O doświadczeniu poetyckim młodego Słowackiego”) stwierdza: „...sztuka Słowackiego nie odmalowywanie rzeczywistości postawiła sobie za cel. Choć niejednen opis świadczy bystrości i przenikliwości spojrzenia poety na otaczającą rzeczywistość, opisy te stanowią jedynie elementy stworzonego przez wyobraźnię poety świata nierzeczywistego”.

Nowy stosunek do poety, idąc śladem i wzorem Ignacego Matuszewskiego („Słowacki i nowa sztuka”), można znaleźć, jak słusznie wskazuje Zbigniew Bieńkowski, pasując go na „prekursora i natchnienie nowatorstwa” w sztuce, lubując się nieskrepowanym lotem wyobraźni poety, która wszelkiej poezji może być wzorem.

I w tym kierunku badań wobec olśniewającego bogactwa jego wyobraźni, wylamywania się z wzorca przekazanych przez przeszłość form sztuki — klasycznej czy romantycznej — i pokumania ze współczesnością przez pokrewieństwo świata wyobraźni i form obrazowania ze sztuką i poezją współczesną — można szukać podstawy do nowego użyczenia poezji Słowackiego.

W tym kierunku więc idą ujawnione na Sesji Naukowej IBL-u spostrzeżenia choćby Jana Kotta nad oryginalnym i bliskim poezji współczesnej powiązaniem tragizmu z groteską w „Śnie srebrnym Salomei” i wiele innych powiązań, obcych i niezrozumiałych jeszcze dla I. Matuszewskiego, którego badania nad związkami poezji Słowackiego z „nową sztuką” przestały być aktualne ze względu na to, że owa sztuka przestała być już „nowa”. Nie przeczy to jednak możliwości powiązania i spokrewnienia formalnych osiągnięć bogatej i wieloznacznej twórczości Słowackiego z współczesną nową sztuką, która w Słowackim znaleźć może i znajduje swego wielopostaciowego, niesłusznie i krzywdząco zlekceważonego — protoplastę.

Pokrewieństw zaś treściowych — z łańcucha pojęć patriotycznych, demokratycznych i postępowych jest tyle, że nie potrzeba ich szukać, gdyż we wszystkich jego czołowych utworach b'ją one w oczy, domagając się zestawienia z formami ich realizacji w chwili obecnej.

Jan Nepomucen Miller

SPRAWDZIAN CZASU

HALINA MARIA DĄBROWSKA

W grudniu br. mija pięć lat od śmierci Zofii Nałkowskiej. Wydaje się, że twórczość i Nałkowskiej osoba uległa pewnemu zapomnieniu. Cóż jest tego powodem? Sądzę jestem skłonna, że odcięcie się większości od ery „dwudziestolecia”. Ta uległa epoka nie nabrała jeszcze znamion historycznej, a staje się już daleka. Czytelnik przyzwyczajony jest obecnie do innego rodzaju lektury. Jego zainteresowania zwrócone są ku rejestracji faktów i trybie realistycznym.

Twórczość Zofii Nałkowskiej osiągnęła jednak duży wpływ na pokolenie pisarzy, których dziś nazywamy „pokoleniem średnim”. Jak niegdyś Zeromski, tak następnie Nałkowska była jedną z tych autorów, którzy narzucali kierunek młodym. Jej liczne z nimi kontakty, dysputy ułatwiały to zadanie.

Stosunek Nałkowskiej do zadań sztuki był wybitnie intelektualny, z pominięciem łatwej emocjonalności wzruszeń. Zbliżona świadomość do zagadnień ogólnoeuropejskich, reprezentował je u nas echosła, podnosząc jakość literatury na wyższy poziom. W jej powieściach dominowały zwykle ogólnoludzkie problemy i tezy ujęte w doskonałą formę narracji. Artystyczny sprawdzian wyrazu zwykle odpowiadać musiał treści, stąd wielka dbałość Nałkowskiej o styl, w pierwszych utworach aż przesadna.

Nałkowska przechodziła ewolucję z czasem dzieł, które ją otaczały. Nie zdradzając założeń i wierność raz obranej drogi, którą była dyscyplina

przewagi umysłu nad sercem. Tkwiła w różnych następujących epokach, jakie przynosił ustrój świata, zawsze usiłując go zrozumieć, a nie odczuć tylko. Stąd — niesłuszna kwalifikacja Nałkowskiej jako pisarki chłodnej — jakby pojęcia intelektualne nie zdolne były dawać przeżyć gorących.

Córka uczonego, geografa Wacława Nałkowskiego, odziedziczyła po nim — radykalność przekonań, metodę naukową pracy.

Wczesne jej utwory cechuje egocentryzm i specyficzny feminizm. Odbiega od łatwego społecznikowania, sentymentalizmu narodowego — na rzecz wnikliwej analizy psychologicznej istot zwanych „kobietami”.

Jako młodziutka, dziewiętnastoletnia dziewczyna, Zofia Nałkowska zaczyna swą karierę wielkim sukcesem powieści pt. Kobiety, gorsząc filistrów. Był to czas Strindberga, Collette, u nas Przybyszewskiego. Nałkowską odcina od przybyszewszczyzny od razu kontrola umysłu nad dowolnością interpretacji „nagiej duszy”.

Przez artystyczną przewagę słowa pięknych opisów sytuacji i przyrody, Nałkowska zbliża się do kierunku sztuki reprezentowanej przez pewien odłam współczesnych jej pisarzy z grupy Chimery. Lecz później od tego odchodzi.

Oblicze pisarskie Nałkowskiej ulega zmianie po pierwszej wojnie światowej. Zaczyna widzieć — jak sama mówi — tego „drugiego człowieka”. Wnikają w treść książek już problemy życia zwykłych ludzi z nizin. Krzywda, niesprawiedliwość społeczna mają już w nich swe miejsce. Styl staje się prostszy, ale ani na chwilę Nałkowska nie pozwala górować „szlachetnej” tendencji nad świadomym swych środków i celów rzemiosłem artystycznym. Jej kontrolę intelektualną pisarza, surowość dyscypliny, zakres pojęć i tematów ogólnoludzkich przejmują najbliżsi z jej grona, wówczas miedzi pisarze, jak Tadeusz Breza, Adolf Rudnicki, Bogusław Kuczyński, Bruno Szulc, Stefan Otwinowski, że tylko tych tu wymienię.

Lata niepodległości Polski stawiają przed Nałkowską nowe pytania z dzie-

Rouen — miasto okrutne

(Z cyklu „Słodka Francja“)

JÓZEF CZECHOWICZ

W uliczkach okalających katedrę błędzić — to lubię. Wilgotny, kościelny chłód odchodzi od zakurzonych murów, owija twarz i ręce wszystkich, którzy przechodzą tędy. Jest jak w zapomnieniu, jest jak w zamuleni.

Powtarzając nazwę tego dziwnego miasta nie wywołam niczego ponad rzeczywistość. Zakłęb nie ma. A patrzyłem na to: kościół opuszczony przez wiernych, mimo że bardziej od innych gorliwy w modlitwie, bo balustradami z gotyckich liter głoścący wielkość Tego, Który jest straszliwego majestatu Panem. I na przedmieściu stare domostwa z gliny, z belek szarych, jak ta gлина. Rozpadały się i marły, nad gnijącą rzeczką śmiertelne.

Czarna woda, zwana l'Eau de Robec, odbijała w sobie siwe glazy bulwarów, czerwien zwietrzałych dachówek, srebro stromych facjat łupkowych — a wszystko w jednym tonie barwy oksydowanego metalu.

Inna rzeka, Sekwana, płynęła w szerszych brzegach, ale także obmurowanych. Chodziły po niej wielkie statki, a gdy stawały w porcie, tężowe plamy smarów pojawiały się na wodzie. Mały, oberwany chłopczek pokazywał je palcem, wołając:

— Motyle, motyle!

Matka nie zwracała nań uwagi. Odrzucała z lewej ręki chustę, zbierała dalej węgiel. Sporo go było między stosami skrzyń, beczek i koszów. Najwięcej zaś na torach kolejowych. Patrzyłem na to, co we wspomnieniach swoich nazywam miejscem smutku

prawdziwego. W progę starej janki, dygnącej surowym oparem, stała kobieta w białej sukni. Niewidoma. Dłoń chudą położyła na głowie dużego, kudatego psa, a ten, zamknięty oczy, stał pod ostrym słońcem nieruchomo. Nie otwierał oczu. Może umyślnie. Dobry, wielki pies.

A ja wzroku oderwać nie mogłem od tych obojga, od ich słonecznego konturu. Gdzie indziej znów tak: niska krata w zieleni. A na kręgu murawy, w pośrodku pęk lilij. Czemuż odmienne od tych, które się widuje na świętych obrazach, w dłoniach dziewic i męczennic? Są duże i przez to bliskie człowieczeństwu. Pulsują wprost krwią białą i zieloną, pyszną się wspaniałymi głowami, wysuwają szmaragdowo-złote żądła. Jaśnieją — dumą promienną. Jeśli kształt ich w śpiewie dałby się wytłumaczyć, byłby to hymn natchnienia, jeżeli nie ulatują wżwyz, mieczowe i pancerne, jak archanioły, to tylko dlatego, że ulgnęły w bursztynie południa i ulgnęły w świecie i nie masz dla nich zmiłowania.

Rouen, Rouen!

Ostatnie spojrzenie znów na katedrę. Blask słońca z kontrastowym cieniem pospołu wydzierają brutalnie portal. Więc wychodzi z niebieskiej przestrzeni kamienne belkowanie, postacie królów jawią się w mocnych liniach rzeźby, zwisają nad płacem kwiatony i pinakle. W bitwie blasku i mroku stoi oslepiająca, wspaniała świątynia. I jak wszystkie dzieła gotyku ma w sobie coś z fantastycznego snu drapieżcy.

Gérard Philipe

WOJCIECH NATANSON

Wiadomość o śmierci Gérarda Philipe'a wywołała w całym świecie ogromne wrażenie. Można śmiało powiedzieć, że znaczenie tego artysty przekraczało w dużym stopniu kręgi sztuki teatralnej i filmowej, w których się obracał. Znamienny jest tytuł artykułu Jana Gandrey-Rety w „Lettres Françaises“: „Plus haut et plus loin que le Théâtre“. W pewien sposób wyrażał bowiem Gérard naszą epokę.

Warto przede wszystkim przypomnieć fakty i daty: Gérard Philipe urodził się 4 grudnia 1922 roku w dużym mieście francuskiej Riwiery, zbudowanym w typowym stylu „secesji“ XIX wiecznej: w Cannes. Był więc „południowcem“, miał wszelkie cechy temperamentu — ruchy, żywość reakcji, śpiewny akcent Francuza z południa. Jego ojciec był adwokatem, który się jednak dość wcześnie wycofał z zawodu i kupił duży hotel w miejscowości Grasse. Ojciec Gérarda nazywał się „Philip“, podobnie jak znany socjalista, prof. André Philip. Dodanie literki „e“ na końcu nazwiska przez młodego aktora nie wynikało ze snobizmu. Po prostu było rezultatem rozpowszechnionego we Francji przekonania, że trzynastka przynosi szczęście. Otóż literka dodatkowa miała Gérardowi zapewnić upragnioną liczbę 13 liter w jego nazwisku.

Naukę szkolną odbywał Gérard w Collège Stanislas (nazwanym zapewne na cześć Stanisława Leszczyńskiego) w Cannes. Został odpalony przy maturze w lipcu 1939 r., tuż przed wybuchem wojny. Maturę zdał jednak następnie w Vence. Pałac potajemnie papierosy i marząc o karierze lekarza w koloniach. Wojna wpłynęła na jego losy już przez to samo, że w 1940 roku wyemigrował na Côte d'Azur wielu filmowców, uciekających z Paryża. Studiując prawo w Nizy (do czego skłonił go ojciec) Gérard Philipe uświa-

domił sobie, że prawdziwym jego powołaniem jest aktorstwo. Zwierzył się z tego marzenia reżyserowi filmowemu, Markowi Allegret, który zamieszkał wtedy w hotelu należącym do państwa Philipp. Do tego momentu przyszły wielki wykonawca ról Calliguli, Cyda i Perdiana — nie oglądał ani jednego przedstawienia teatralnego (nigdy bowiem nie był jeszcze w Paryżu). Allegret zapoznał Philipe'a ze swym asystentem, Huetem, który właśnie złożył w Nizy kurs aktorski. Tam dopiero — niedawny maturzysta z przeszkodami — odkrył piękno francuskich klasyków. Tam także zaprzyjaźnił się z „bandą“ młodych ludzi ogarniętych „furią teatru“.

Wybitny dekorator i reżyser Donking namówił wtedy 20-letniego „południowca“, by się odważył wystąpić w Paryżu. Dyrektor Hebertot przygotowywał wtedy „Sodomę i Gomorę“ Giraudoux, z Edvige Feuillère. Zaangażowano Gérarda do roli ogrodnika Ale, ujrząwszy młodego aktora, Feuillère zawołała: „Przecież to jest wymarzony anioł“. I w tej ostatniej sztuce Giraudoux — którego niebawem miało aresztować i zamęczyć Gestapo — przypięto Gérardowi Philipe skrzydła anielskie, dostrzegając w jego rysach coś z niepokoju anioła nowoczesnego.

Cechą Philipe'a była zawsze — skromność i ustawiczna nad sobą, usilna praca. Nie zadowolając się sukcesami, stanął do egzaminów konkursowych w Conservatoire przy Komedii Francuskiej. Studiował tam pod kierunkiem starego aktora, Georges Le Roy, który uczniom swoim przekazywał tajniki rzemiosła jednego z najwybitniejszych tragików francuskich, Mounet-Sully. Na egzaminach końcowych otrzymał Philipe tylko drugą nagrodę za rolę mussetowskiego Fantazja. „Jacy musieli mieć tego dnia wzrok trochę krótki“ — napisał jeden z biografów.

Rok 1945 przynosi — jak stwierdza J. Derogy w „Liberation“ — „wielką rolę, która zaznacza linię podziału jego kariery teatralnej: Calligule w sztuce Alberta Camusa“. Philipe łączył nieporównanie wdzięk chłopięcy z przenikliwą jasnością myśli filozofa, doprowadzającego „rygor“ intelektualny aż po granice wrogłego życia absurdu. Warto przytoczyć zdanie Claude Choublier, który we „France Observateur“ napisał: „Gérard Philipe stał się symbolem czasów powojennych podobnie jak auto-stop, Tourlame et Travail oraz Albert Camus“.

Równocześnie gra Philipe wielkie swe role filmowe: Idiotę (wedle powieści Dostojewskiego), a 2 lata później (1947) Franciszka w „Diable au

corps“. Dostaje za tę postać wielką nagrodę światową.

U szczytu powodzenia i oblegany jak najkorzystniejszymi propozycjami zwraca się nagle Gérard do Vilara, zgłaszając akces do tworzącego się wtedy Théâtre National Populaire i festiwalów w Awinionie. Jeszcze tej samej nocy, pełen entuzjazmu po rozmowie z młodym aktorem, telefonuje Vilar do swego scenografa, Leona Gishii: „Gérard Philipe przyszedł do mej garderoby po spektaklu i oświadczył, że jest do mojej dyspozycji. Chcę mu powierzyć rolę Cyda“. Ta rola, jej akcent bohaterski, jej świątynna i na wskroś nowoczesna ekspresja miały takie znaczenie, że zdaniem Guy Dumur „Od 300 lat czekał Cyd na swego wykonawcę. Najpopularniejsza sztuka francuskiego teatru narzeczcie osiągnęła swój punkt kulminacji“.

Ponieważ premiera odbyła się w robotniczej miejscowości Suresnes pod Paryżem, mógł powiedzieć słynny pisarz Vercors, że „lud miał tu dla Rodryga zakochane oczy Szizmy“.

Z Cydem i Ruy Blasem przyjechał Gérard Philipe na głosinne występy do Polski. Pamiętamy wrażenie, jakie wtedy wywarł T.N.P. Pamiętamy też, jak duże zainteresowanie obudził w młodym, niezmiernie inteligentnym aktorze francuskim nasz kraj: „Są trzy tylko miasta świata, w których można mieszkać“ — powiedział potem Philipe jednemu z dziennikarzy francuskich — „Rzym po Paryżu... i może Warszawie“. Było to zwierzenie dość wyjątkowe, gdyż Gérard Philipe niechętnie mówił o swym życiu. Nie cierpiał reklamy, uciekał przed dziennikarzami. Gdy go dopadli w szpitalu, przed 5 laty, po urodzinach młodszej córki — wyskoczył przez okno na parterze, nie mogąc się inaczej obronić przed ich natrętną ciekawością.

Nie uciekał jednak przed życiem. Brał udział w Ruchu Obrońców Pokoju, podpisał apel sztokholmski, należał nawet do władz tego ruchu. W 1957 r., na zebraniu w Montreuil, recytował bezinteresownie wiersz Nazima Hikmeta. Gdy w paryskiej Mutualité, wkrótce po wojnie, czytał listy bohaterów, zamordowanych w obozach koncentracyjnych, niespodziewanie załamał mu się głos.

Jako prezes Związku Aktorów Francuskich doprowadził do zjednoczenia rozbitego ruchu związkowego i opracował szczegółowy plan ożywienia życia teatralnego na francuskiej prowincji.

Przed kilku laty powiedział przyjaciół, że porzuca rolę Rodryga — gdyż jest dla niej za stary. „Uśmiechnąłem się“ — stwierdza, wspominając te słowa, słynny pisarz Claude Roy. Gérard Philipe jednak dotrzymał postanowienia — chociaż był do końca uosobieniem młodości.

Pracował dużo; równie wiele podróżował. Zwiedził niemal cały świat: od Chin (gdzie studiował nie tylko słynny teatr operowy, ale i całe życie kraju), poprzez ZSRR, Polskę, Czechosłowację, Niemcy aż po USA, Kubę (o której przeobrażeniach rewolucyjnych mówił z entuzjazmem pisarzowi Claude Roy), aż po Meksyk, skąd wrócił śmiertelnie już chory.

Piszą o nim nie tylko ludzie teatru i filmu. Wielki powieściopisarz Mauriac złożył mu pośmiertny hold w tygodniku „L'Express“. „Les Lettres Françaises“ poświęciły Gérardowi Philipe znaczną część numeru z 3—9 grudnia (zabrali tu głos: Renée Faure, Simone Renant, Claude Autant-Lara, Roger Blin, Marcel Carné, Jean Cocteau („Ta śmierć okropna — powiedział — dowodzi, że rytm nowoczesnego życia jest nieludzki“), René Clément, Jacques Deval, Léon Gishia, Daniel Ivernel, Serge Reggiani, Roger Vadim, Vercors, Vilar i inni).

„Był w mniejszym stopniu młodym amantem niż uosobieniem bohaterstwa, łączącym z dystynkcją fizyczną oraz intelektualną obraz gorącej młodości i szlachetności“ — napisał jeden z największych krytyków, dyrektor Komedii Francuskiej P. A. Touchard, w „Le Monde“. „Widzieliśmy go w rolach ludzi „niepewnych“ i niemal podłych, ale zdawało się, że nigdy z jego strony nie należy się obawiać ani tchórzostwa, ani nieczemności“.

U tego chłopca, który by mógł być tylko pięknym, wyczystać się dało niepokój, w którym czuło się stałą potrzebę wielkości. I podobnie jak u Króla Homburgu, który był jego „cołą“ może najświetniejszą, jego słabości stawały się przesłanką — męskich zwycięstw... I dlatego w momencie, gdy nas opuszcza, doznaję uczucia, że dziś w Paryżu „w każdą piosenkę dziewczęcy czy ptaka wmięszają się nuta okropna, jedyna nuta, najniższa ze wszystkich oktaw: melodia śmierci“. Tak mówił Anioł z „Sodomę i Gomorę“ ustami Gérarda Philipe'a.

KRYTYKA i POEZJA

ZDZISŁAW JASTRZĘBSKI

W czasie małego prania, jakie niedawno urządzili sobie krytycy, po rozjeździe się w sytuacji krytyki, okazało się w niepiśanym prowizorycznym bilansie, że poza Kazimierzem Wyką nie ma właściwie krytyków wysokiej miary. Założono tylko, że zbyt wsiąknął w profesorskie zajęcia i nie zabiera głosu w krytyce. Jak gdyby w odpowiedzi otrzymaliśmy niemal natychmiast jego zbiór artykułów o poezji współczesnej pt. „Rzecz wyobraźni“.

Wobec fermentu zaczynającego się w krytyce i stanowiska w niej Wyki oraz wobec tego, że autor traktuje swój tom nie jako dokument własnego rozwoju, lecz jako „dokument czy przyczynek do rozwoju poezji polskiej w ostatnich kilkunastu latach“, recenzja tego tomu musi ową sytuację uwzględnić i traktować „Rzecz wyobraźni“ jako dzieło z konkretnymi piskami materiału rzeczowego w dyskusyjnej przykaniwie, tym bardziej, że autor nie odmawia sobie tego, by mimochodem nie uderzyć w niejedną krytykę warsztat.

Książka okazała się w najważniejszą porę. Ponieważ jedną z ról recenzji jest „zalecanie“, pozwolę więc sobie powiedzieć: niech krytycy przeczytają ten tom, zestawiając ze swoimi recenzjami, przybierającymi często postać autorytatywnych wyroków i niech wyciągają wnioski. Skorzystają, niezależnie od tego, czy uznają Wykę za „nestora“ współczesnej krytyki, czy nie.

Nie będziemy tu analizować warsztatu Wyki. Warto jednak na pewne sprawy zwrócić uwagę. Przede wszystkim: rzetelna wiedza historyczna — literacka i orientacja we współczesnych zjawiskach, i to nie tylko literackich, bardzo się przydaje recenzentowi. Nawet „zdawkowe“, krótkie recenzyjki nie wytrzymują parcia nieuctwa.

Zahaczamy tu o problem publicystyka — nauka. Wyka jest profesorem. Niektórzy sądzą, i to zarówno z obozu polonistów, jak publicystów, że nie da się obu postaw pogodzić. Trzeba wybierać. Sąd mój, czego dowodzi Wyka, może Markiewicz... czego dowodzi Borowy, Zawadzki... Dziś krytyka zesła na płaszczyznę dziennikarską i tu są źródła (pomijając to, że zatraciła swój właściwy cel i funkcję) sygnalizowanego zeszłej jej kryzyzy: i owego impresjonizmu, i braku „zaplecza“, orientacji w całokształcie poezji, i doraźnej zdawkowości, nawet prywatności (przypomina się tu niedawna rozmowa przed mikrofonem, której uczestnikami byli m. in. Kott i Slonimski; ktoś z nich wygłosił wtedy zdanie, że czyta artykuły tylko po to, by dowiedzieć się, co myśli o danej rzeczy kolega. Takie są też niektóre recenzje. Czy trzeba przypominać, że na to jest prywatna korespondencja lub gawęda w kawiarni!). Z pogardą mówi się o polonistach i ich bagażu zmumifikowanej wiedzy, ze wstrętem o nudnych seminaryjnych dębaniach (przyczynkiem do tej postawy może być zbuntowana dyskusja na ten temat we „Współczesności“).

Być może nie zawsze metody pracy uniwersyteckiej są właściwe, ale równocześnie nie można oczekiwać, by studia zawsze służyły bezpośrednioemu użytkownikowi tej wiedzy, by dawały wiedzę doraźnie zastosowalną i to w publicystyce. Znów kryje się za tym inwazja dziennikarskości.

„Rzecz wyobraźni“ dowodzi, że nawet z nudnej wiedzy uniwersyteckiej, z historyczno-literackiego lamusa można korzystać, tylko trzeba umieć umieścić każde zjawisko literackie w kontekście, w powiązaniu z tradycją, wykryć zależności i powinowactwa. Oto przy formiście Czyżewskim pojawiają się nazwiska Imé Twardowskiego, Grochowskiego, Dachnowskiego (któż o nim słyszał?). Ze też krytyka „dziennikarska“ nie dostrzegła i nie wykorzystała tej szansy bliskości i popisu. Hm, owszem, są próby. Czasem pojawiają się efek-

(Dokończenie na str. 8)

WALERY BRIUSOW

Przy świetle elektrycznym

Przełożył

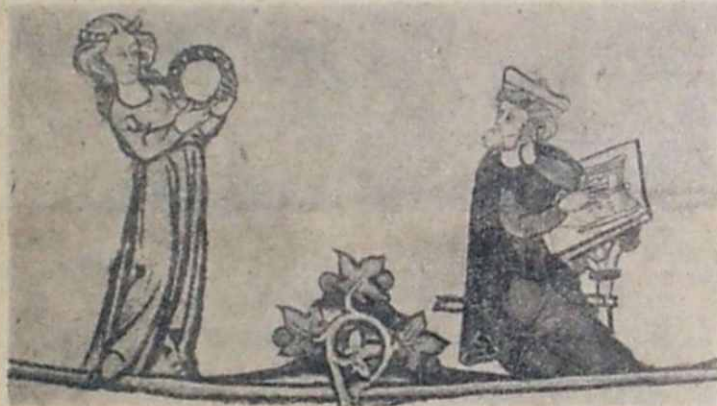
KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Jako dziecko marzyłem nad książkami Verne'a,
Ze fantazja się prawdą w naszym życiu stanie,
Ze popłyną okręty większe od „Easterna”,
Ze Hatteras obejmie bieganie w posiadanie,
Ze nowych lamp promienie zaświecą jak zorza,
Ze parą poruszany Słoń przejdzie przez pola,
Ze „Nautilus” zanurzy się w głębinie morza,
Ze wycyzy w powietrzu szlak Robure'a wola.

I oto doczekaliśmy szczęśliwej ery,
Zwycięski rozum przebył setki mil przez lata;
Przy świetle elektrycznym kreślę te litery,
Głos klaksonu przy aucie w ciszę ma się wplata;
Na biegunach łopocą sztandary na wicherze,
Floty „Titaniców” prują oceany,
Podwodne łodzie grają się w głębie najciekwsze,
Wzbijają się ku niebu dumne monoplany.

Lecz ponad wszystko — droższe jest jeszcze marzenie
I jak w latach chłopięcych znowu teraz roję:
Tam, daleko w lazurze ponad nocy cieniem,
Szarłatna gwiazda błyszczy, wzywa blaskiem swoim.
Tajemnicze kanały nie wychodzą z głowy,
Znów marzę o istotach nieznanych, dalekich...
Marsie, druhu nasz stary, bracie purpurowy,
Czyż z tobą rozłączeni mamy być na wieki?

Nie wierzę! Nie chcę tutaj, na zielonym łonie,
Jak więzień zamknąć oczu! Czekam bez wytchnienia,
Ze wnet maszyna pomknie przez eteru tonie,
Obeym a bliskim ziemi — niosąc pozdrowienia;
Czekam, że ujrzę wreszcie, jak ta kula lśniaca,
Ta kropka zagubiona pośród gwiazd zamiecie
Drogą ściśle wytkniętą przez pustkę lecącą
Braterstwo odbuduje w poróżnionym świecie.



Dama
podaje
wieniec
profesorowi

Ok. 1280 r.
Biblioteka
Narodowa
w Paryżu

Z miłoci

Niedola Abelarda i Heloizy

Zgodnie z naszą zapowiedzią (patrz „Kamena” nr 21) zamieszczamy dziś pierwszy z cyklu felietonów, poświęconych sławnym parom kochanków, które trwale zapisały się w historii literatury.

P IOTR, syn Berangara, żył we Francji w latach 1079—1142, a był największym myślicielem swego wieku. Nazwano go Abelardem od słowa „abeille” — pszczoła, bo jak pszczoła zbierał sok wiedzy, by przetwarzać go na miód własnych myśli. Jako dwudziestoletni młodzik prześcignął swych mistrzów w filozofii i teologii, i szybko skupił wokół siebie liczne grono uczniów i wielbicieli. Nie mniej liczni byli jego przeciwnicy i wrogowie, a wśród nich najsłynniejszy i najzjadliwszy, znany z historii wypraw krzyżowych i dziejów mistyki — Święty Bernard z Clairvaux.

Abelard był to umysł wnikliwy, głęboki, krytyczny i wojowniczy. Znawca filozofów starożytnych, w komentowaniu Pisma Świętego okazywał się sceptykiem i racjonalistą, ścigając na siebie gniew Kościoła i gromy potępień. Śmiałość jego myśli i wystąpień zapewniały mu w każdym razie trwałe miejsce w dziejach rozumu, ale sławę rozgłosną i powszechną zawdzięcza tej, z którą na zawsze skojarzyło się jego imię — swej kochance i żonie, Heloizie. Dzięki miłości weszli też oboje do literatury: on swymi pieśniami miłosnymi i „Historią moich niedoli”, ona — pisanymi do niego listami.

Za młodu Abelard, poświęcony surowemu zakonowi wiedzy, stronił od ko-

biet: „...żywiłem zawsze silną odrazę do nieczystości; z drugiej strony bezustannie i wyczerpana praca w szkole nie zostawiała mi nigdy chwili wolnej na towarzystwo i obcowanie z białogłowami szlachetniejszego rodu”. Gdy przypadek skrzyżował drogi Abelarda i Heloizy, filozof dobiegł czterdziestki, krewniaczka kanonika Fulberta miała lat szesnaście. Abelard napisze w wieloletniej o Heloizie: „Urodą była nie najpośledniejsza, a co do wiedzy nie miała sobie równej”. Heloiza o Abelardzie: „Wszelkie zalety, jakie tylko miłosne wejrzenie niewiasty odkrywać zwykło w swoim małżonku, jaśniały w tobie takim rzęsiwym blaskiem, iż nie ja jedna, lecz wszyscy ludzie nie mniemać mogli, lecz wiedzieć o nich musieli”.

Kanonik Fulbert, dumny z wychowanki, sądził, iż w osobie Abelarda, słynnego z mądrości i nieposzlakowanych obyczajów — znalazł dla niej wymarzonego mistrza. Powierzył Heloizę Abelardowi „jakoby jagnię niewinne wygłodzonemu wilkowi”.

Wyobraźmy sobie mroczną, gotycką komnatę w domu przy którejś z wąskich uliczek średniowiecznego Paryża i przy pulpicie nad księgą tych dwoje w pierwszych dniach poznania: on, w sile wieku i męskiej urody, wspaniały sławą i wiedzą, ona — szesnastoletka chowana surowo i bogobojnie, ośniona wielkością mistrza, nie przezwijająca zapewne jego skrytych zamierzeń. Bo Abelard wszedł do domu Fulberta już „plonąc cały miłością do młodej dziewczyny”. Jak po raz pierwszy spotkały się ich dłonie, jak uczennica w mistrzu przeczuła kochankę — nie mówi o tym ani Abelard w swej apologii, ani Heloiza w listach, słanych doń potem z klasztoru. Abelard pisze krótko: „z początku łączą nas wspólny dom — następnie jednoczą się serca... Rozłożywszy zatem księgi o wiele radziej rozmawialiśmy z sobą o kochaniu, niż o nauce. Więcej było całunków, niż uczonych wywodów. I częściej ręce dotykały łona, niżli kart księgi”. Jakże

nie wspomnieć tu Paola i Franceski z Rimini... Miłość wprędce zagarnia ich zupełnie — Abelardowi brzydnie nauka i uczniowie, Heloiza pogrąża się bez pamiętnie w namietności, której wspomnienie będzie ją potem przesładować do końca dni, w murach klasztoru, pod habitem mniszki. Bo kochankom los nie sprzyja. Gdy skutki miłości nie dają czekać na siebie, Abelard wykrada Heloizę z domu wuja i ukrywa u swej siostry; tam, w zaciszu, przychodzi na świat ich syn, Astrolab, Gwiazdołów. Chcąc ulagodzić Fulberta i dać mu choć w części zadośćuczynienie, Abelard potajemnie poślubia Heloizę, mimo iż ona sama, dbała o jego spokój i dobre imię — odradza mu ten krok. Młody małżonek brzyma w tajemnicy to swoje „zstąpienie do ziemskich ślubów”. Fulbert nie ulagodzony połowicznym rozwiązaniem sprawy, pragnie innego odwetu: „I oto pewnej nocy — pisze Abelard — kiedy spokojnie spałem w swej odosobnionej izdebce w gospodzie, przekupiwszy jednego ze sług moich, dokonali na mnie najokrutniejszej i najhaniebniejszej zemsty, która oburzeniem najwyższym przejęła świat cały: pozbawili mnie mianowicie tych właśnie członków ciała, którymi popełniłem to, co stanowiło dla nich kamień obrazu”.

Abelard, okrutnie ugodzony w ciełe, a jeszcze okrutniej w swej dumie — znajduje pociechę w wieńcu filozofii. Przywdziałwszy habit mniszki, wraca do swych ksiąg, sporów i spekulacji intelektualnych, w tym odnajdując jeśli nie zupełny spokój, to przynajmniej zapomnienie. Inaczej jest z Heloizą. Zamknawszy się również w klasztorze, świecą przykładem cnót, powszechnie podziwiana i miłowana za „pobożność, rozum, nieporównaną łagodność i słodczyz” — w głębi duszy plonie buntem i niewygasłym żarem: „Będąc zraniona twą krzywdą, zawsze oskarżam Boga o okrucieństwo najdzikie. Bunt stale podnosząc przeciwko odwiecznym wyrokom bardziej szemranie wyzywam, niż przeblaganiem łagodzę gniew boży”. I ta zbuntowana mniszka wyznaje swemu kochankowi, mężowi, a w porządku zakonnym — ojcu duchowemu, jak dręczy ją tęsknota za nim i żadną miarą nie wypalone uczucie, któremu pozostaje wierna do ostatka: „Niechaj przyswiadcza nieba, że przez cały ciąg życia lekkałam się bardziej obrazie ciebie niż Boga. Tobie, nie jemu, goręcej pragnąc się przypodobać. To wola Twoja, nie powołanie, sprawiła, że na się wzięła jarzmo klasztorne...”

Listy Heloizy są przejmujące szczerością, samowiedzą, głębią i żarem. Nie darmo jej imię stanie się słowem zaklęcia dla pisarza, który w kilkakrotności lat później objawi się jako wielki kapłan miłości, a swą „Nową Heloizą” dokona przełomu w obyczajach i w literaturze.

Kształt miłości Abelarda i Heloizy mógłby pozostać niezmienny niezależnie od epoki, ale los, jaki stał się miłości tej udziałem, — nie do pomysłenia jest poza czasem, w jakim żyli, poza czasu tego przesądami, uprzedzeniami, ideałami. Przede wszystkim ideałem miłości. Średniowiecze wymarzyło sobie miłość niezłomną, bezcielesną, uduchowioną — ucieśnieniem jej Beatrice, przewodniczka po kręgach niebiańskich. Los Abelarda i Heloizy to wynik gwałtownego starcia się praw życia z wyspekulowanym ideałem. Miłość cielesna i sankcjonująca ją związek małżeński były w oczach średniowiecza czymś nieomal wstydliwym, a w każdym razie niegodnym mędrców, filozofów, mistrza, jakim był Abelard. Można powiedzieć, że w osobie kanonika Fulberta Abelard obraził wiarę, ufność, iluzję całego średniowiecza, które dokonało na nim zemsty równie okrutnej, jak samo gorzko się na nim rozczarowało i zawiedło. Jest natomiast w dziejach średniowiecza para ludzi realizujących ten zawrotny ideał miłości do końca wysublimowanej — para złączona w wierze i żarliwości mistycznej, Święty Franciszek i Święta Klara, żywy model sielsko-anielskich wizji Fra Angelika.

da i Heloizy to wynik gwałtownego starcia się praw życia z wyspekulowanym ideałem. Miłość cielesna i sankcjonująca ją związek małżeński były w oczach średniowiecza czymś nieomal wstydliwym, a w każdym razie niegodnym mędrców, filozofów, mistrza, jakim był Abelard. Można powiedzieć, że w osobie kanonika Fulberta Abelard obraził wiarę, ufność, iluzję całego średniowiecza, które dokonało na nim zemsty równie okrutnej, jak samo gorzko się na nim rozczarowało i zawiedło. Jest natomiast w dziejach średniowiecza para ludzi realizujących ten zawrotny ideał miłości do końca wysublimowanej — para złączona w wierze i żarliwości mistycznej, Święty Franciszek i Święta Klara, żywy model sielsko-anielskich wizji Fra Angelika.

A Heloiza i Abelard to już w łonie średniowiecza zapowiedź Renesansu, to przeciwstawiająca się Miłości Niebiańskiej — Miłość Ziemską, ludzka, arcyłudzka, czekająca pędzla Tycjana czy Rubensa.

AMA

*) „Historię moich niedoli” oraz listy Heloizy cytuję w przekładzie Leona Joachimowicza z wydania PIW-u 1952 r.

OBRACHUNKI SERDECZNE

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

Poetycki debiut*) Ryszarda Liskowackiego uderza na tle, rozciągającej się niby smugą meteorytów w ognie komety, twórczości młodych ostatnich lat rzadką doprawdy, nie tylko poetycką, uczciwością, pokorą, autentyzmem. Nie ma w tych próbach nigdyś lubelskiego, a obecnie szczecińskiego pisarza nie, czego by oświadczyć, własnym życiem, nie doświadczył, przemyślał, nawet przecierpiał; składające się na „Łądy bez tajemnic” cykle „Porannych i wieczornych myśli” i „Rozmów z miastem” brzmią więc głosem szczerym, może niekiedy łamiącym i potykającym się, ale za to czystym, uczciwym.

Materia poetycka służy Liskowackiemu nie tyle do wypowiedziania się, ile do spowiadania się i to raczej przed sobą niż przed czytelnikiem i krytykiem. Spowiadania się z własnego niełatwego życia rozpoczętego przeciw wypełniającym „Rozmowy z miastem” Powstaniem Warszawskim — z osobistych, a reprezentatywnych dla całego dwudziestego rocznika „Kolumbów” konfliktów, wyborów, dylematów. Obrachunki to serdeczne, podjęte nie po to, by ekshibicjonalistycznie babrać się we własnym wnętrzu, lecz — by je jakoś oczyścić, uporządkować, przegotować do świadomego i wrażliwego zarazem życia i działania.

Przypuszczam, że właśnie do tych celów potrzebny był Liskowackiemu prosty, o włos — prymitywny warsztat poetycki, w którym najważniejszym, jak w każdym rachunku, narzędziem jest wrażliwe pióro i czysta, bez ułatwiających twórczość linijek, rubryk i wzorów, kartka papieru. I stąd wywodzi się ulubiony przezeń, tradycyjny czterowiersz, zgrzebny asonans, oszczędna do granic ubóstwa metafora. Nic w „Ładach bez tajemnic” z artystowstwa, z dziegania subtelnie mieniącej się podtekstami tanki lirycznej, z ćwiczebnych studiów poetyckich. Liskowacki uznaje tylko szkołę mickiewiczowską, w której pisarz chroni swój głos wyłącznie przed kłamstwem myślowym, zdradą samego siebie.

Postawa, niewątpliwie chwalebna w swej ascetycznej konsekwencji, może jednak sprawić Liskowackiemu niejaki kłopot na — poetycką, rzecz jasna — przyszłość. Jego wiersze już teraz, w punkcie wyjściowym, są chwylami zbyt obficie przytłakane prozalizmem, w jaki załamuje się z reguły relacjonująca, wyłącznie sprawozdawcza, fraza liryczna. Prozalizm zgniata

*) Ryszard Liskowacki: „Łądy bez tajemnic”, Poznań 1959, Wydawnictwo Poznańskie, s. 56, 1 nłb.

HELENA PLATTA

Nad Grajcarkiem

(Z cyklu „Wiersze z Pienin”)

Wieczór śpieszył się, szeleścił, gasł,
Ledwo dyszał, pod górceczkę lasł.
Ciemniał, pachniał ostro
modrzewiowy las.

Kelasyły smreki i modrzewie
myśl zbrojniczą barwną nutą w śpiewie.
Chata rosła — rudy grzyb na skraju,
skalki nad nią prosto
w chmury uderzają.

Ruski Potok: Grajcar — pluszcze
nieopodal,
świecił płasko widać cienkiej wody.
A przez mostek, przez kamyki,
w zmroku —
biegnie góral, chłopiec młody —
— sokół.

Dobiegł chyżo, Złapał słońca brzeg:
talerz zaśnił, zamigotał, brzęknął.
Góral ciskał zdjętym słonkiem

za siebie,
— przysto, błysto — gwiazd szklekami
po niebie...

Sierpień 1959 r., Szczecińska

(Dokończenie na str. 12)

Lubelska szopka z dawnych lat

(Dokończenie ze str. 1)

Pan oraz Zbawiciel, by was wyswobodził. Idźcie do Betleem, prędko pospieszajcie, To słowo wcielone wszyscy oglądajcie. Znajdziecie niemowlę nowonarodzone, Spowie w pieluszki, w żłobie położone.

Anioł znika. Z drugiej strony wchodzi Kolednicy z gwiazdą i śpiewają:

Kolednicy:
A gdy nam się pora zdarza, pora zdarza
I taka doba, i taka doba,
Pijmy zdrowie gospodarza,
Gdy się spodoba.

Pijmy zdrowie gospodynie, gospodynie,
A gdy jej nie ma, a gdy jej nie ma,
Pijmy zdrowie tu za tego,
Kto w szopce śpiewa.

Dawniej mebel, stół dębowy, stół dębowy,
Ale pełen trzos, ale pełen trzos,
Dzisiaj wszędzie jeslonowy
Ale pusty trzos.

Dawniej matka swoje córki, swoje córki
Uczyła jak praść, uczyła jak praść,
A dzisiaj to tylko uczy
Byle zgrabnie się.

Wychodzą. Wtacza się Tęga Dziwa, a za nią podskakuje Parobeczek. Śpiewają:

Ona:
Jestem sobie Tęga Dziwa, Tęga Dziwa
I do tego rośla,
Pokochałam Parobeczkę,
To nie lada osła.

On:
Jestem sobie Parobeczek, Parobeczek,
Pracuję z ochotą
I pewnie się nie powstydzę
Ze swoją robotą.
Sieckim narzązł, wodym przyniosł,
Wodym przyniosł.

Bo nie było dziewczek,
A ona mi za to dała
Roli na osiewek.

Ona:
Czarna rola zaorana, zaorana,
Będą jare żniwa,
Ja się o nic nie frasuję,
Jestem Tęga Dziwa.

Ona wychodzi. Parobeczek śpiewa sam:
Parobeczek:
Kiedym ja był na swej roli, na swej roli

Wtencas był bogaty,
Sukmanisko po kolana,
Kapelus rogaty.
Kiedym zesed ze swej roli, ze swej roli

Wtencasem zubozał,
Sukmaninę ktoś mi ukradł,
Kapelus pogorzał.

Parobeczek wychodzi. Po chwili z brzękiem misek wpada na scenkę Kusy Węgier. Śpiewa:

Kusy Węgier:
Kusy Węgier z olejkami, z prolejkami
Do sopy przybywał,
Sem głosu dobywał:
Węgier, Węgier malutana,
Sem przybywał tu do pana
S trochy olejki.
Mówi: Ne kupite pani senesu, menesu,
Malakalabryny, kornia świętojańskiego
Od brucha bolenia?

Wchodzi jęczący Chłop, trzymający się za brzuch, i mówi:

Chłop:
O, mój kumecku, przeczacny doktorze,
Prosiłbym was bardzo,
Żebyście co poradził.
Okrutne boleści ponose.

Węgier:
Werum, pane gospodarum,
Dwa tromfy daje,
Zdrów pozycuje:
Pare jajek zjite,
W ceple se wypite,
Dajce pyska pocałowac,
Zawtra przyjdze podzjenkowac.

Chłop wychodzi. Kusy Węgier przechadza się po scenie i śpiewa smutnym głosem:

Kusy Węgier:
Za górami, za lasami
Stoi mała chatka,
A w niej z dwiema siostrzyczkami
Mieszka moja matka.

Wszystkie trzy mnie uścianęły,
Gdym je miał porzucić,
Wszystkim lzy w oczach stanęły,
Jakże się nie smucić?

A ja biedny druciareczek
Idę w świat szeroki,
Znoszę nędzę, głód, upały i deszczu potoki.

Wpada rozuścieszony Chłop i krzyczy:

Chłop:
Oj, zadaleś ty mi badyla,
A kto wi, jaka ona była.
Jakem krzyknął hajtuś! pajtuś!
Od samego ranka,
To jaz mnie z chalupy
Wygoniła Franka.

Węgier z oburzeniem:
Cys ty, chłopie, szalony?

Chłop (z wściekłością):
Cys ty, paro-Węgrze, na leb postrzelony?
Dopomóż Boze, kto kogo zmoze.
Ni z tego, ni z owego
Lup, cup, jeden drugiego.

Biją się. Zwycięża Chłop. Wyprowadza Węgier ze scenki i mówi:

Chłop:
Chodź, paro-druciarzu, na komisye
Garnki, miski drutować,
Nie poczciwego gospodarza
Klamstwem osukawać.

Wbiegają dwie Krakowianki i śpiewają z lekkim płasem:

Krakowianki:

Oj, skowroneczek śpiewa,
Dzień się rozedniewa,
A Zosiunia się stroi,
Męża się spodziewa.
Wyjdźże, Zosiu, do nas,
O to cię prosiewa,
Bo ci na wesele
Dwa wianki wijewa.

Oj wijewa, wijewa
Z róży, z rozmarynu,
A takie ślicznusienkie
Jak i ty, Zosiuniu.
Wyjdźże, Zosiu, do nas,
O to cię prosiewa,
Bo ci na wesele,
Dwa wianki wijewa.

Ostatnią nocy będziesz
U matusi spała,
A jutro będziesz swoje
Gospodarstwo miała:
Wyjdźże, Zosiu, do nas,
O to cię prosiewa,
Bo ci na wesele
Dwa wianki wijewa.

Dalej dziewczki, dalej żwawo,
Jedna w lewo, druga w prawo.

Podbiegają do nich dwaj Krakowiacy. Śpiewają:

Krakowiacy:
KraKowiaczek ci ja,
Któż nie przyzna tego,
Siedemdziesiąt kótek
U pasika mego.
Siedemdziesiąt siedem
Na jedwabnym pasie,
Kiedy jeden kocha,
To drugiemu zasię.

W lesie przy strumieniu,
Jeleń wodę pije,
Kochaj mnie dziewczyno,
Ja dla ciebie żyję.
Oj żyję ja, żyję
Dla twojej miłości,
Kto by cię nie kochał,
Nie znałby dobrości.

Cała grupa śpiewa razem:
Albośmy to jacy tacy, jacy tacy,
Chłopcy krakowiacy,
Czerwona czapczka,
Na cał podkóweczka
I biała sukmana,
Danaż moja dana.

Kierezyja wyszywana, haftowana,
Guziczkami, pętlczkami,
Dokolusieniczka,
Moja kochaneczka.

Wbiegają. Na scenę wkracza dostojnie Gruby Pan.

Gruby Pan (śpiewa):

Oto pan, z panów pan,
Co całym Wschodem włada,
Bardzo w życiu wstrzeźmieliwy
I bardzo mało jada.

Najprzód rano, kiedy wstaje,
Pali tytoń Pan laskawy,
Potem pije na śniadanie
Dziesięć filiżanek kawy.

Dziesięć kielbas, dziesięć kiszek,
Kompotu do nich półmisek,
Na koniec lekkie siekanie,
Na tym kończy Pan śniadanie.

Gdy obiadu jest godzina
Idzie zupa z pulpetami —
Potem z ryżem baranina,
Trzy pulardy z sardelami.

Przed wieczorem Pan laskawy,
Nie chcąc być obżarstwa wzorem,
Ledwie zjada trzy babki migdałowe,

Cztery placki z rodzynkami,
Dwie struclę marcypanowe,
I wina tylko gąsiorek
— Na tym kończy podwieczorek.

I drzemając przy sztufadzie
Prawie głodny spać się kładzie.

Wychodzi dostojnie, z ukłonem. Wchodzi Niemiec.

Niemiec (śpiewając nieco podchmiele):

Panie Gajer, was ist das?
Z tego piwo już jest kwas.
Ten Haberbusch i ten Jung
Robią bardzo kiepski trunk.

Ja bym jemu sprawił bal,
Ja bym jego w „Kurier” dał.
Taki cienkusz, taki tfu!
Więcej już nie przyjdę tu.

I ja także gute nacht,
Komm du morgen bi im jacht.
I ja także gute nacht,
Komm du morgen bi im jacht.

Napsiód dali wiela zupa,
Tra la la, tra la, la.
Potem idzie mięsa kupa,
Tra la la, tra la, la.
Cymgajer, Cymgajer
I cóż tam takiego,
Krećli się, wiercili się,
Sam nie wie dlaczego.
Ten siajster, ten kajster,
Ten wielki niecnota,
Co on nam narobił
Tam kolo płota.

Wytacza się za scenę. Wchodzi Parobeczek i śpiewa:

Parobeczek:
Parobeczek ci ja, ci ja
Nie lada, nie lada, nie lada, nie lada,
Niechaj wójt przyświadczy
I cała gromada.

Gdy do karcmy idę, idę,
I gorzałkę piję, i gorzałkę piję,
Kto mi w drogę wlezie,
Tego palką biję.

Nie będę się zenil, zenil,
Jeno tylo na wsi, jeno tylo na wsi,
Bo Zośka chleb piece
I kapuste kwasil.

A ślachciunki nie chcę, nie chcę,
Bo by mnie zgubiła, bo by mnie zgubiła,
Jesce w łozku lezy,
Juz by kawę piła.

A przekrzciunki nie chce, nie chce,
Zydowskiego rodu, zydowskiego rodu,
Bo by mi cybulę
Wyjadła z ogrodu.

Nie chcę ci ja zadny, zadny,
Ani zagraniczny, ani zagraniczny,
Nie chcę ci ja zadny
Opróc Zośki ślicny.

Pociąg odchodzi 0¹⁵

JAN STANISŁAW STEFANIAK

— Przepraszam panią — powiedział z zażenowaniem — który pociąg odjeżdża do Dużego Miasta?

— Nie wiem. Wszystkie czekamy na ten pociąg od miesiąca. Od lat. A pan? — zmierzyla go krytycznym wzrokiem — pan także do Dużego Miasta.

— Tak...
Spojrzał po sobie. Miał od brudu lepiące się spodnie i buty o mocno zdartych obcasach.

— Ja też... — dodał.
— Trzeba mieć dużo pieniędzy. Ale niech pan porozmawia z Kolejarzem, może za tysiąc... pana przewiezie.

Stefan wszedł do budynku stacji. Tłoczno. Każdy z podróźnych obarczony wieloma bagażami. Standartowe walizki. Małe, duże. Siedzieli na nich okraciem podróźni. Na stojakach wiszą duże płachty papieru, okute żelazem. — Rozkłady jazdy — domyślił się. — Może tam dowiem się, kiedy będzie mój pociąg — myślał.

— To stare rozkłady jazdy. Nieważne — powiedział stojący obok nich człowiek.

Stefan obejrzał się. Za nim stał stary mężczyzna, ubrany w buty z cholewami i czapkę o zwisających nausznikach.

— Już czekam długo — powiedział. — Było kilka pociągów. Zawaze przepelnione. Nie mogłem się docisnąć. Za stary jestem na dalekie podróże. Ale Maryśka, niby moja stara, powiada: — Jedź, Bronek, do Dużego Miasta. Dla nas dwojga forsy nie wystarczy. Choć ty pojedź. Tylu ludzi — powiada — tam pojechało. — Jedź, Bronek. Jedź — mówiła, niby moja

stara... Wybrałem się i czekam. Długo. Maryśka może tam nie żyje. Wyjechałem bardzo dawno z domu, jak jeszcze w siłę wieku człowiek.

— Ile kosztuje podróz? — spytał Stefan.

— Drogo. Całe życie pracowałem. Przy budowie szosy. Szosa jeszcze nie skończona. Niby miała też prowadzić do tego Dużego Miasta. Asfaltowa, autostrada ma być.

— To nie wygodniej byłoby kiedyś autobusem?

— Panie, kiedy to będzie...

Usiedli. Siedzący obok człowiek zrobił im miejsce na dębowej, ciężkiej ławie, zgarnawszy uprzednio rękawem okruszyny chleba.

— Zapalimy?

— Można by...

Stefan poczęstował papierosem do połowy wykruszonym. Zgnioty mu się w kieszeni. Stary mężczyzna drzącą ręką przytrzymując papierosa zapalił go sobie zapalką. Przy blasku ognika twarz palącego wydała się Stefanowi bardziej ostrą i więcej starszą.

Milczeli, patrząc jak dym snując się małymi kółkami unosił się ku górze. W poczekalni było szaro od dymu. Majaczyły ludzkie twarze. Mężczyzn, kobiet, dzieci.

— Jakbym zajeżdżał do Dużego Miasta — podjął rozmowę Stary — może bym się tam osiedlił i babę sprowadził, gdyby żyła. Tam, podobno, dobrze. Chodzi se tylko człowiek po ulicy. Albo kości wygrzewa w parku. I ludzie są tam żywcizy. Ale tam trudno się dostać... Zjął razem jak w jednym wielkim domu. Cicho. Ale jak się do pociągu dostanie. Dużo ludzi czeka. A i pociąg przyjdzie pełny. I niewiele

biletów zostanie sprzedanych. — Można by 'uż stanąć w kolejce. Przed kasą. Kilka dni temu Kolejarz mówił, że bilety lada dzień będą sprzedawane. Dokładnie on sam nie wie kiedy. Trza by stanąć...

Rzucił niedopałek papierosa na ziemię i przygniół butem. Podniósł się ciężko, wziął tobolek.

— Idzie pan?

— Pójdę.

Przed kasą stało już sporo ludzi. Przez zmęczone twarze przebijała nadzieja. Przy samym okienku stało kilkoro dobrze ubranych osób.

— Czy aby dostaniemy sleepingi? — mówiła tęga kobieta w futrze.

— Nigdy nic nie wiadomo — mówiła inna szybkim, gardłowym głosem.

Człowiek marnuje się czekając tyle czasu i za swoje pieniądze chciałby chociaż jako tako podrózować.

Wytworny pan rzekł do niej półgłosem:

— Zdaje się, że jeszcze jest kilka biletów... Kolejarz mówił...

Stary szturchnął Stefana łokciem —

— Patrzcie, sleepingów im się zachciewa. Cholera. A tu chodzi chociaż o miejsce na korytarzu. W klozecie nawet bym jechał.

Stefan milczał. Zeby choć wykupić bilet i do drzwi wagonu się dopchać. Na dachu by pojechał. Na buforach. Był zmęczony. Przeszłował z nogi na nogę. Za nim była długa kolejka, wąz ludzi, który wypełniał całe wnętrza poczekalni i zniknął gdzieś za drzwiami.

Czekali. Minęła noc. W ciągu dnia przybywało osób. Krećli się tu i ówdzie, wystawali na peronie wyciekając pociąg. Wczoraj podobno przebiegł tedy express, ale nie zatrzymał się na tej „zafajdanej stacji”, jak ją określili Stary. Był to SPECJALNY. Przebiegł dymiąc parą, łnąjący, nowy. Firanki w oknach. Zadużał, oszołomił. I nie zwolnił biegu nawet.

(Dokończenie na str. 9)

Wybiega. Wchodzi Kogucina potężna,
chuderlawym mężem Wojtusiem.
Spiewa:

Kogucina:
Kiej ciek pańskie gronta ziapie
Przeniesiwa się do dwora.
Będę leżeć na kanapie,
Zawzdy sobie będę chora.
Będę jadła, będę piła,
Na obiad co dzień gęsina.
Harakiem się będę myła.
Wiwat, pani Kogucina!

Tobie Wojtuś fraczek sprawię,
Sobie sal za reńskich dwieście.
W lecie będziem mieskać na wsi.
A w zimie, to zawdy w mieście.
Kiej pójdziewa do tyjotru,
Będę myśleć, zem grafina,
Wszyscy na mnie wołać będą:
Wiwat, pani Kogucina!

A gdy jadę do kościoła
Liberia konie zacina,
I slysę jak naród woła:
Wiwat, pani Kogucina.

Odechodzą rozmarzeni. Wchodzi Pan
Jabłoński. Spiewa:

Pan Jabłoński:
Ja Jabłoński się nazywam,
Dzisiaj państwu zapowiadam:
Mieście, państwo, na mnie bacznosc,
Co ja państwu tu powiadam.

Jestem pijak se rozpustny,
Całe życie swoje piję.
Piję, piję, nie umieram,
W tym kraju się poniewieram.

Mówi:
Ale ja sobie śpiewam, śpiewam,
A posłałem Zydą po wilcze futro.

Zagłada w jedno wyjście:
Zydzie faktor! — Nie ma go.

Zagłada w drugie wyjście:
Zydzie faktor! — Nie ma go.

Tymczasem sobie jeszcze trochę
pośpiewam.

Spiewa:
Gdym spełnił powinność moja,
To nikogo się nie boję.
Śmiało idę, patrzę w oczy,
Kto nie taki, niech mi zbroczy.

Wola:
Zydzie faktor!

Wbiega Żyd klanając się:
Żyd:

Klaniam, klaniam, panie Jabłoński.
Jabłoński:

Mam, mam, Panie Jabłoński,
Sobole, co po plecach kole.

Jabłoński:
A ile chcesz za nie?

Żyd:
Nyyy... cztery bicze.

Jabłoński:
Na czym będziem rachować,
Kiedy u mnie stół wąski?

Żyd:
Nyyy... Panie Jabłoński,
Lap, cap, aby do kieszeni.

Jabłoński:
Jedź, Zydzie, ze mną na Nalewki.

Żyd:
Herste! Tam są brzydkie dziewczki!

Jabłoński:
Chodź, Zydzie, ze mną na Nowy Świat.

Żyd:
Herste! Zeby Pan Jabłoński sto
kaczek zjadł.

Jabłoński:
Co ty, Zydzie-szelmo, gadasz?

Zamierza się na niego.
Żyd:

Aj waj! Policja! Strażnik!
Ogniowa straż!

Aj waj! On myśli, że tu las!
Gonią się i wybiegają. Wchodzi Kozak
i jego Luba. Spiewają:

Kozak:
Kozak koni napawał,
Luba wodu brała.
Kozak skoro uchał,
Luba zaplakala.

Luba:
Kupi ty mi czerewiczki,
Pończoszki z atlasu.
Kozak (wychodząc, za nim Luba):
Oj ne kupie, moja Luba,
Taj umrę zawczasu.
Oj ne kupie, moja Luba,
Taj umrę zawczasu.

Na scenkę ze świstem wpada
Czerwony Diabeł. Mówi:
Czerwony Diabeł:

Oto szatan zwodziciel,
Stary świata kusiciel,
Ma czerwone odzienie,
Z ust mu idą płomienie,
Czy mu się kto nie podoba?
— Szuka króla Heroda.

Majestatycznie wkracza Herod.
Herod:

Oto jestem świata król.
Tysiąc rzek, tysiąc pól
W moim kraju naokoło:
A ludzi — sto milionów.
Co dzień schyla mi czoło,
Sto milionów pokłonów
Uniżenie mi składa.

Kiedy idę — lud pada,
Od południa do zmroku,
Z nocy do dnia białego
Idę we krwi potoku!
Ja — pan świata całego.
Kiedy przez wszystkie ludy
Będę jak Bóg uczczony,
Kiedy wszystkie narody
Rozpadną się w poklony,
A zostanie mi droga,
Wtedy chwycę się Boga.

Czerwony Diabeł (przyskakując
do niego):

Dobrze, bracie-cesarzu!
Dobrze, krwawy mocarzu!
Połączmy się razem
Szukać Boga żelazem.
A snadź on niedaleko,
Bo płomienie mnie pieką,
Moje skrzydła pajęcze.
I te złote obręcze
Nad aniołów głowami,
I ich loty wichrowe
Uderzają mnie w głowę.
Dobądź miecza, mój bracie.

Wchodzi Anioł.
Diabeł Czerwony:

Gwałtu! Bóg jest w tej chacie!
Ucieka.
Anioł:

Nie bój się, królu, żadnej nicości,
Lecz, okrutniku, hamuj swe złości.

Herod:
Na mój rozkaz, na me zawołanie
Niech mi tu zaraz marszałek stanie.

Wchodzi Marszałek.
Marszałek:

Oto stoję, stoję wobec waszej
królewskiej mości
I słucham głosu powinności.

Herod:
Wszystkie dziecińy w całym Betleem
Wyrąbajcie, wysiekajcie,
Mojemu synowi pardonu nie dajcie.
Marszałek wychodzi, po chwili wraca
i melduje.

Marszałek:
Królu, rozkaz spełniony.
Wszystkie dziecińy w całym Betleem
Wyrąbano, wysiekano,
Lecz nie natrafiono na głowę syna
Bożego.

Wychodzi Herod w rozpacz.
Herod:

O ziemi, ziemi rozstap się...
Nic nie widzę, nic nie slysę,
Czy się gdzie dzwon kołysze,
Czy lilije wonieją,
Czy niebiosą goreją...
...A dzień idzie za nocą.

Anioł:
Już cię, Herodzie, odstąpić muszę,
Bo potępiony czeka na twą duszę.

Herod (z wściekłością):
Idź precz, aniele, nie praw mi wiele.
Mam złota, srebra, dam sobie śmieie.
Wolałbym widzieć diabła z rogami,
Niż ciebie, aniele.

Wpada Czarny Diabeł. Anioł wychodzi.

Diabeł Czarny:
Alam brrrruuuuu, waszej królewskiej
mości
Rogów, albo widel?

Herod:
Idź precz, zwodniku.
Wolałbym widzieć śmierć z kosą,
Niż ciebie, paskudniku.

Wchodzi Śmierć. Diabeł ucieka.
Śmierć:

O wchodzę, wchodzę,
W te marne progi, potentacie.
I czemuż tak rychło
Na tę śmierć narzekacie?

Herod:
Stój, stój, jasności, jasności,
Pohamuj swe złości.
Zdejm ze mnie purpurę,
Okryj swoje kości.

Śmierć:
W purpurach nie chodźłam
I chodźcie nie będę.
Nie takim ludziom
Głowę ścinałam
I ścinać będę.
O mocarzu, nie do wyroku,
Kiedy Śmierć przy boku.

Wpada znów Czarny Diabeł.
Czarny Diabeł:

Hola, hola, sucha, wędzona!
Cóż to? Już się na króla potężnego
porwalaś?

Śmierć (nie zwracając na niego
uwagi):

Nad prochy, popioły,
Potężną schył głowę.
Już kruki śpiewają
Rekwijem grobowe.

Śmierć ścina Herodowi głowę. Oba
Diabły porywają Heroda i wynoszą go
z wrzaskiem.

Oba Diabły:
O, mój Herodku,
Za twe niegodziwe zbytki,
Chodź do piekła,
Boś ty brzydki!

Na pustą scenkę wchodzi Dziadek ze
śpiewem.

Dziadek:
A gdzież to ten Kusy Janek,
Co chodził z toporkiem?
Siekierką się podpasywał,
Podpierał się workiem.
Miał studnię za piecem,
Brał wodę przetakiem,
Ryby łapał grabiami,
Strzelał wilków makiem.

Mówi:
Prosi Dziaduś, prosi,
Na ogolenie bródki,
Na kieliszeczek wódki,
Na kufelczek piwa,
Bo mu się bardzo, bardzo głowa kiwa.

Spiewa:
Wisła się paliła,
To ludzie widzieli,
Popalone szczupaczyska
Do lasu bieżeli.

Mówi:
Prosi Dziaduś, prosi,
Na ogolenie bródki,
Na kieliszeczek wódki,
Na kufelczek piwa,
Bo mu się bardzo, bardzo głowa kiwa.

Spiewa:
Oddawajcie swe daniny,
Co komu należy:
Proboszczowi dziesięciny
Za kopę pacierzy,
Organście za godzinki
Jajek na Wielkanoc,
Parę kiszek, parę kielbas,
A teraz dobranoc
Lubelskie panienki
I lubelskie panie,
Na dzisiejszy wieczór
Wam powinszowanie.

Mówi:
Pójdzie Dziaduś, porachuje,
Czy mu jeszcze nie brakuje,
A jak brakuje,
To się Dziaduś jeszcze raz pofatyguje.

Wychodzi. Po chwili wraca i mówi:
Oj, brakuje, brakuje,
Na ogolenie bródki,
Na kieliszeczek wódki...

Spiewa:
Jak państwo nie dacie,
To wam pobijemy
Wszystkie garnki,
Wszystkie miski,
Co na szafach macie.
Oczywiście na takie dictum w tor-
bie Dziadka zaczynały brzęczeć pie-
niążki i przedstawienie się kończyło.
Alina Tomaszewska



KRYTYKA I POEZJA

(Dokończenie ze str. 4)

towne popisy czytania, ograniczające się jednak najczęściej do tropienia wpływów bez dowodu rzeczowego. Są one zwykle czymś przypadkowym i jednostronnym, bez orientacji w całokształcie rozwoju poezji.

W warsztacie Wyki erudycja nie jest ani nudnym balastem, ani czynnikiem epatującym. Jest „zapleczem”, które pozwala swobodnie poruszać się w materiale, porządkować go według właściwych proporcji, oceniać jego wartość, a także służyć pełniejszemu zrozumieniu omawianej twórczości. Gdy u wielu recenzentów doszukiwanie się ech i wpływów ma posmak wytykania i karcenia, to u Wyki spełnia funkcję wykrywania rodowodu i typu danej poetyki, umiejscowienia jej w kontekście. Spełnia też zarazem funkcję rozwiązywania tej niewiadomej, jaką jest omawiany przez krytyka nowy tomik lub autor, przy pomocy wiadomości. Ułatwia analizę (może czasem te rodowody są zbyt obszerne).

Wyka nie tyle dzieli się swoją opinią, ile stara się zrozumieć i zinterpretować dane zjawisko, podpatrzeć i wykryć poetyckie oblicze autora, z tym jeszcze, że swoje sądy uzasadnia, przeprowadza analizę dowodową. Taki również charakter ma tomik „Duchy poetów podsluchane”. Autor nie zmierza w utworach tu zawartych do parodii, lecz tworzy pastisze, próbuje podpatrzeć styl poety. W krytyce nie rezygnuje też z pewnych praw essayu, z dowodów „literackich”: metafory, porównania, aluzji. Np. recenzja „Struny światła” Herberta tak zaczyna: „Powszechnie wiadomo, że czysty promień światła mieści w sobie całą tęczę”. Lecz ów obraz, rozciągnięty też na następne zdania, nie jest „upiększeniem”. Jest co najwyżej przygrywką, a przede wszystkim zapowiedzią celu i przebiegu recenzji. Oto dalsze zdania: „Chyba najwdzięczniejszym zadaniem krytyka, kiedy pojawia się nie znana dotąd „struna światła”, jest odczytać, które to składniki są w niej obecne. I dokąd promień zmierza po własnym swoim torze”. Często podobny styl jest zabiegiem pomocniczym, służącym do uwypuklenia wyводу logicznego i w tej swojej roli przypomina parabolę.

Podkreślamy to szczególnie, bo wiele się wstawia „literackich” woltów do recenzji i owego impresjonizmu i to bez kompozycyjnego umotywowania, za to rzeczowa strona dowodowa jest często prymitywna i nieodpowiedzialna.

ARNOLD ŚLUCKI

* * *
Ince

„Tak cię niewiele”
— mówisz —
nogi owijasz mi w pled.
Leżę w łóżku zamknięty w swym ciele
jak w futerale — flet,
albo skrzypce we własnym popiele
albo —
jestem chory,
broda mi rośnie,
jak igliwie lipcowej sośnie...
Śnił mi się właśnie
w futrze z popiele
rosyjski poeta Fet.

Ariel

I ja kiedyś będę Prosperem
i mieć będę swego Ariela,
redakcyjnego gońca — aniolka z gitarą,
takiego, co mu wszystkie depeze
śmieją się w upchanej kieszeni,
i Paryż, i wieża Eiffla.

On zdobędzie władzę nade mną;
z moich dzieł wypuści latawca
i wysypią się z nich samotne litery
na wiatr.

I niechaj się nikt nad nimi litować nie
próbuje
i wiązać w skład.

*) Z nowego tomiku pt. „Promienie Czasu”, który ukaże się wkrótce nakładem Państwowego Inst. Wydawniczego.

Rozbrajając żenująca jest skarga Kijowskiego w artykule „Sytuacja krytyki” („Przegląd Kulturalny” 1959, nr 35). Nieporozumienie polega tu na tym, że Kijowski widzi krytykę profesyjnie: zapewnił krytykowi ciepły mecenat, a on wtedy będzie mógł pogłębiać wiedzę, zbierać materiały, szperać, grzebać, odkrywać. Otóż, proszę pana, jeśli krytyk ustawicznie płacze się po redakcjach i wydawnictwach, by zbierać groszowe zarobki (nie takie znów groszowe), to nie potrzebuje „pisać dwa razy więcej niż może”. Nadto owo zdanie: „Krytyk musi pisać dwa razy więcej niż może, a czytać może zaledwie jedną dziesiątą tego, co powinien” godne jest głębokiego zastanowienia, ograniczymy się jednak do pytania: czy pan nie zdaje sobie sprawy, że zdanie to wystarczy do zupełnego podważenia zaufania do krytyki? I czy naprawdę krytyk nie ma czasu na pogłębianie wiedzy i czytanie? Przecież po redakcjach nie trzeba się płacić bez przerwy. Jeśli już rzeczywiście nie ma, to prawem jakiego kaduka pisze? Proceder taki zakrawa na cynizm, lekceważenie czytelnika i autora.

Oczywiście zdarza się, że recenzje są kiepskie, bo krytyk jest początkujący, bo źle zrozumiał utwór itd. Człowiek się uczy, zdobywa wprawę, myli się. Orły są rzadkie. Ale co innego, jeśli krytyk wie, że pisze więcej niż może, wszystko jedno czy kiepsko, czy w tym podbudkami brzęczącymi, ambicjonalnymi, czy innymi. Dyskwalifikuje go to całkowicie.

W wyznaniu Kijowskiego ujawnił się jeden z bakcyli felietonowości krytyki, co zresztą sam autor przyznaje. Ów bakcyl jest jednak skutkiem. Przyczyna leży w „dziennikarzeniu” krytyki (odpuście ohydny nazwę tej profesyjnej, wierszówkowej, dyletanckiej, doraźnej, do literackiej giełdy przyspanej krytyki), bo tylko na tej pożywce mógł się ulegnąć taki styl. Należałoby się także zastanowić nad tym, gdzie leżą przyczyny „dziennikarzenia”, lecz to temat odrębny trochę.

Wróćmy jeszcze do sprawy czasu. Ponieważ na giełdzie nastąpiła zwyżka akcji Irzykowskiego, posłużmy się jego przykładem w miejsce długich wywodów. Autor „Słonia wśród porcelany” też musiał się czym innym zajmować dla chleba, był sejmowym stenografem, miał szachowe i inne pasje i zajęcia, a mimo to zdobywał się na krytykę ciężkiego kalibru. Kijowski żali się, że wobec trudności, jakie krytyce postwarzano, krytycy odchodzą na katedry uniwersyteckie. Czy to reguła? Przepraszam, że śmiem wątpić. A po drugie, jeśli odejdzie, to czy dla krytyki jest stracony?

Oto zbliżamy się znów do Wyki. Posłużmy się nim jako exemplum. Autor powieści „Życie na niby”, tomiku wierszy „Duchy poetów podsluchane” i zbioru recenzji „Rzecz wyobraźni” jest panem na katedrze. Krytykiem pozostał. Wprawdzie Kisiel biadał, że „ustał w drodze i zaginął gdzieś w czeluściach profesury” („Tygodnik Powszechny” 1959, nr 33), ale Kisiel przymierza szaty Autorytatywnego Mentora, więc przykazując innym, by czytali to, co poprzednicy w tej samej materii pisali (dodajmy, chodzi o orientację w tym, o czym się pisze, prawda? Nic słuszniejszego) sam nie miał potrzeby sięgać do faktów i uświadomić sobie, że Wyka, mimo utknienia w owych czeluściach, „skwitował” wszystkie ważniejsze pozycje poetyckie od r. 1956, tzn. od czasu, gdy poezja nabrała nowego oddechu. Nadto Wysoki Liberal uległ też presji profesyjności. Może więc zacytujemy z Przedmowy do „Rzeczy wyobraźni” (będzie to za jednym zamachem kontra na część argumentacji Kijowskiego): „Własny instrument krytyczny albo strój do poetyckiego, albo — nie. W drugim wypadku lepiej nie zaczynać. A już tym bardziej nie zaczynać na siłę, pilując i męcząc własne pudło. Lepiej więc milczeć, co nie zawsze oznacza negatywną ocenę”. Doczytajmy sobie poprzednie i następne zdania.

Jedną z cech krytyka jest trzymanie ręki na pulsie i wychwytywanie dominant. Wyka ma tę cechę. Gdy zaraz po wojnie najważniejsze rzeczy działy się w prozie, otrzymaliśmy „Pogranicze powieści”, gdy niedawno wybiła się na czoło sprawa poezji, otrzymaliśmy „Rzecz wyobraźni”. Chyba nie stać byłoby na to kogoś, kto

ugrzązł w czeluściach. Sprawę ustania w drodze pomijam, gdyż nie badałem specjalnie, czy wierszaty Wyki nadal się bogaci i doskonali, czy eksploatuje tylko swe dawniejsze doświadczenia. Niezależnie od odpowiedzi nie można zaprzeczyć, że zbior ten pomaga zrozumieć współczesną poezję i bogaci wiedzę o niej. W obecnej sytuacji winien on zaważyć na dalszych losach dyskusji o krytyce, a także wpłynąć na sytuację samej krytyki oraz opinię o poezji.

To druga funkcja „Rzeczy wyobraźni”. Powiedzmy od razu: poezję pojmujemy się rozmaicie, ale rzadko właściwie. W Przedmowie znajdujemy wyjaśnienie, czym jest poezja i jaką spełnia rolę w życiu. Autor widzi jej rolę w koncepcji prawa rozrastającego się świata, w którym zasadnicze znaczenie ma wyobraźnia. Pisze też: „Poezja liryczna nie naśladuje rzeczywistości w tym sensie, by stwarzała jej fabularne bądź opisowe odpowiedniki słowne”. Niestety, ten pogląd o odpowiednikach jest powszechny. Na ogół uważa się, że poezja to tylko jakiś marginalny ozdobnik życia, że jest sprawą bezpostaciowych marzeń, uczuć, liryczno-kameralnych wyznań. Bo poezja wciąż jeszcze jest dla czytelnika, niemal nie do wykorzenia, równoznaczna z wstydliwą pensjonarskością i plazmowatym liryzmem.

Zbiór Wyki jest uderzeniem w te pojęcia, jeśli nie wprost, to choćby przez wybranie do analizy takiej poezji, która nie ma nic wspólnego z ogólnymi o niej pojęciami i uprawianymi rymowaniami, z lechzącymi „wzruszeniami”. Dlatego poezja omawiana przez Wykę nie jest na ogół zrozumiała, za co w dużej mierze odpowiedzialna jest krytyka, która nie zdolała zwalczyć skrzyżowanego dziedzictwa zewnętrznego pojętej młodopolszczyzny i pozytywizmu, które ciąży nad czytelnikiem i niejednym poetą.

Zwykle, kiedy się rozmawia o współczesnej poezji, pada stereotypowy zarzut wymierzony w „niezrozumiałców”: poezja Mickiewicza jest wielka i zrozumiała. Po pierwsze dyskutant zapomina, że nie było tak na początku wystąpienia autora „Ballad i romansów” (oto brak zapleczka historyczno-literackiego), po drugie śmiem twierdzić na podstawie dość licznych kontaktów i śledzenia umysłowości czytelnika, że gdyby Mickiewicz wiedział, jak dziś jeszcze niektórzy jego wielbiciele płytko znają i rozumieją jego twórczość, nie byłby zachwycony. Zresztą z tego m. in. powodu przestał pisać.

Recenzje Wyki, które dokładnie analizują i określają, na czym polegają istotne wartości liryki danego poety, które równocześnie porządkują materiał, mogą być dobrą pomocą w czytaniu współczesnej poezji. Są komentarzem i wprowadzeniem. Oczywiście można by z niektórymi sędziami podjąć dyskusję, ale to nie zmienia faktu, że „Rzecz wyobraźni” może nauczyć właściwego stosunku do poezji i pomóc zorientować się w tym, co się w poezji dzieje, tym bardziej, że dotąd brak, jak już mówiono, nawet książki w rodzaju Czachowskiego.

Zdzisław Jastrzębski

DYSKURS POETY

Przed rokiem ukazał się szary tomik zatytułowany po prostu „Wiersze”. Było to pośmiertne wydanie twórczości zmarłego w 1957 r. młodego poety krakowskiego Andrzeja Bursy.

Poezja Bursy jest warta zastanowienia z kilku względów. Jest chyba najbardziej charakterystyczna dla dzisiejszych twórczych poszukiwań, wyraźnie je odświeża, najlepiej też odzwierciedla postawę tej młodzieży, o której się mówi, że chce być nowoczesna, ekstrawagancka, która szokuje swoim zepsuciem i którą wstydił się wzruszeń, a w głębi kryje wielkie pokłady sentymentalizmu. Sentymentalizm jest namiastką prawdziwego uczucia, które skrzyżnione zostało przez maskę perwersji. Bursza nie jest plazmowatym sentymentalnym, choć postępuje się stylem młodych. W pierwszej fazie twórczości jest pełen młodzieńczej szlachetności, wyrwyjający się z miejskiego zaduchu na tło przyrody, przepełniony tęsknotami, które trzeba pożegnać i stłumić:

Jeszcze będą burzliwe noce
Srebrne miasta dużo goręczy

Wstań mamusiu zasłoń okno kocem
Zgaśnij zgaśnij księżycu!

Jego poezja zaczyna się od procesu wchodzenia z bezkonfliktowego i pełnego swobody wieku chłopięcego w wiek męski, gorzki („Pożegnanie z psem”, „Fiński nóż”). Jest prawdopodobne, że kierunek twórczości Bursy został zdeterminowany rozczarowaniem, lecz to rozczarowanie, będące jak i sentymentalizm postawą bierności, stało się jedynie bagażem odartego ze złudzeń doświadczenia. Dzięki temu nie ma tu abnegacji i samotniczego egotyzmu, przymierzania żalostnego rzeczywistości do swoich marzeń, lecz i nie ma bezosobowego opisu. Ja liryczne uczestniczy w rzeczywistości, celają one fakty, dowodzą przy pomocy logicznego rozumowania i dochodzi do oceny, która jest zarazem nie tyle usprawiedliwieniem, ile wyjaśnieniem własnego zachowania się i stosunku do przedstawionych spraw:

cała anatomia jego twarzy
zdradzała lekki wysilek
ust:

by mądrzej i grzeczniej do
mnie mówić

oczu:
by uważniej i uprzejmiej
mnie słuchać

Taa...
naprawdę nie mogłem nie napluć
mu w mordę,
(„Jaki miły i mądry facet”)

Wydawałoby się, że tak w tym, jak innych utworach, mamy pogardę dla ludzkich wartości, cynizm. Jednak to tylko pozory. Poezja Bursy jest ekstrawagancka i w założeniu swym niegrzeczna — niegrzeczna i dosadna. Ton ten nie jest poza, spełnia funkcję demaskatorską — a dokładniej — odklamającą. Bursza odkłamuje konwencjonalne grzeczności, obłudę, narodową i historyczną mitologię, które do dziś reprezentują pewne postawy, np. współczesnienie Wernyhozy, przedrzeźnia społeczne wady, tropi wszelkie wartości, które okazują się pozorne, tropi szare i małostkowe, i zrutynizowane życie człowieka, bezcelowe dreptanie, zaściankowe umysły.

Dziś cichutko od swoich zmysłów
Wytesnowanych beznadziejnie
Uwołniłem się lekki i czysty
Więc rozmawiają ze mną uprzejmie
(„Malarstwo obłąkanego”)

Pozorny cynizm wynika z maksymalizmu, z odrzucania połowiczności: jeśli nie macie prawdziwych wartości, to mam was gdzieś, powiedziały Bursza. Nie znajdując przyjaźni, która jest może naczelnym motywem jej twórczości, nie odsuwa się w samotnię. Jeśli są akcenty indywidualizmu, to w roli oceny. Poezja ta wynika ze społecznej wrażliwości, a przede wszystkim z konfrontacji różnych wartości, jakie ma do zaprezentowania człowiek, z zestawienia twardego wartości prawdziwych z błichtrem i pozorem.

Poezja ta jest nietaktowna jeszcze z jednego powodu: odrzuca poetyzacyjny środek wyrazu, nawet wprost podejmuje temat odklamywania poezji, by wymienić „Sylogizm prostacki” czy „Dyskurs z poetą”. Jednym z przejawów tej antypoetycznej i antylirycznej jest posługiwanie się dyskursywnością i wprowadzenie struktury lirycznej w formie sylogistycznego rozumowania. Oczywiście Bursza musiał tu zahaczać o niebezpieczną granicę prozalizmu, lecz na ogół wychodził z niebezpieczeństwa obronną ręką. To nadaje mu rangę poetycką nieposlednią wśród nowych poetów, podobnie jak wykorzystanie ekonomiczne popularnych dziś środków ekspresji, jak powtarzanie całych wersetów, dosadność sformułowań, publicystyczność, groteskowe fantazje, syntaktyczne i obrazowe deformacje, „cyniczna” ironia, dzięki której Bursza prezentuje postawę tej tzw. nowoczesnej młodzieży, a zarazem jest w tym klimacie koniem trojańskim. To nie był tylko eksperymentator. Na pograniczu Galszyńskiego i Kafki znalazł już własny styl i wizję. Szkoda, że jego niestylizowany dyskurs przerwała śmierć.

Na koniec trzeba jednak skierować kilka pretensji do wydawców. Po pierwsze informacje w posłowiu są dość skąpe i ma się wrażenie, że pewne rzeczy celowo były omijane, np. na co umarł, co robił po rzuceniu pracy dziennikarskiej... Przede wszystkim zaś brak informacji „filologicznych”. Ostatecznie jest to wydanie pośmiertne i należy się czytelnikowi wiadomość, kto tomik opracował. Nie wiemy też, czy teksty wydane są z rękopisów, czy jest to wybór... Można stwierdzić, że nie wszystkie utwory znalazły się w wydanym tomiku i dlatego... Mimo starannej szaty graficznej i samego faktu wydania Bursy, trzeba powiedzieć, że tomik nie został wydany starannie.

Z. J.

Eschatologia

Pamięci Józefa Nikodema Kłosowskiego

Muzyk, które się ozwa, i dalekich chórów
nie usłyszę,
demonów niespokojnych krążących górą
nie dostrzegę.

ale zdziwi mnie cisza
dnia tego.

Po tym poznam: to przyszedł kres,
ów dzień jedyny,
dla którego przczyłem tyle tamtych dni.
Przemiesza się co było i co jest,
rozsypana się lata i godziny
na dźwięki, na barwy,
na sny.

To wszystko moje, moje.
Spośród tego samotny wyjde — jak skazaniec
nad tłumy czekające z biciem sere.
Zamajaczą mi jeszcze w dole,
kiedy ze szczytu rusztowania
rzuce im
śmierć.

Muzyki, które się ozwa, i dalekie chóry
usłyszę,
demony niespokojne krążące górą
dostrzegę,
i nie zdziwi mnie cisza
dnia tego.

Bunt
marynarzy

Ciał słońca miecz. Horyzont
Skrwawioną pierś obnażył.

Kapitan zawisł na rei,
A gniew dopiero krzeptł:
Skoczyli do kambuza —
Koka-zdrajcę za łeb!

Płynęła „Santa Maria“
Na West, na Süd i Nord.
Chłodziły ich pasaty,
Grzał zatokowy prąd.

Wolni żeglują sobie,
Holali hoj holo —
Spiewają, jak śpiewali
Gdy między szli na dno.

Wzbiera przypływu buntom
Ballada marynarzy.

JAN LOHMANN

Błąd
w elementarzu

Wszystko się zaczyna
od
Ala ma kota

Ala ma kota — ustawił nas w życiu
Ala ma kota — synonim posiadania
stwierdzenie własności czyni nas panami
Ala ma kota

Ala ma kota — zmusza do myślenia

Ala ma kota — wyzwanie rozumu
poznania siebie i świata
Ala ma kota — zgłębić prawdę każe
początek tragicznego finału
ja niczego nie wiem

Czyż nie lepiej uczyć od dzieciństwa
ludzi
Ala lubi kota — i kot Alę lubi

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

Odłot wiersza

Już mi przez ochłap żywy czasu
cięży bolesny plód mój; wierz,
Usiąde w wonnym cieniu ziela —
tu go porodzę.

Dobrze mi życzy błękit cichy —
chwila najbliższa do odłotu.
Już motyl żagle kwiećnie waży.
Nim się upłynął, chwila tylko.

Ostatni akord w wierszu kładę...
Odlata motyl — tętno zmilkło...
Któryż to raz już — ileż razy
odlatał wiersz czyjś, wraz z motylem?

Żywe i martwe

Zapiszę w pamiętniku pod trzynastym września
Zdarzenie, które przyjdzie: zwyczajne i blahe —
Lecz nabrzmieje pamięcią. Za rok, może wcześniej,
Na zapisaną stronę popatrzę z przestraszonym.

Bo to będzie jak ujrzenie śmierci i ujrzenie miłości
Połączone ze sobą okrutnym przymierzem —
Kiedy zobaczę z bliska to, czego nie było,
Co dawno śmierć zabrała, a miłość — zabierze.

TADEUSZ ROSS

Shelley

W dzień sierpniowy, pod niebem ołowiano-sinym,
Drzew bladymi cieniami smuży się aleja;
Nad brzegiem zasluchanej w przeszłość Serpenty
Spotykam błądzącego w zadumie Shelleya.

Spojrzał na mnie i cicho rzekł: — „Rozumiesz
przecie...
Wspomnienia... To nieprawda, że czas-lekarsz starł je.
Wspomnienia i wyrzuty są na tamtym świecie
Jak tu. Spójrz! Tam ostatni raz widziałem Harriet“.

Wyciągnął dłoń ku wodzie. Spojrzałem za dlonią.
Coś plusnęło. Czy może to wiosło Charona
Niewidoczne śmiertelnym zatargano tonią?...
Shelley stał. Gestem żalu wznosił w górę ramiona.
Płaszcz się rozwiął na wietrze. Wzywał czy zaklinał?
I znikł. Kobiecą skargą płacze Serpenty.

WITOLD NANOWSKI

Dzban

Jestem dzbanem nalany tokajem po brzegi,
attyekim, starym dzbanem z glinki Kao-linu;
zdobi mnie wzór biegnący kolorowym ściegiem
do gron spiętrzonych w kłociach o polysku
(sinym).

Pamiętam białe dłonie porwanej Heleny
i Parysa urodę i gniew Achillesa,
we wnętrzu moim dźwięczy jeszcze śmiech
i wielki płacz ofiarny u progów Hadesu.
[Sylena]

A jednak się ostałem rozpaczom czy trwodze,
ruinom Herculanium, zagładzie Pompei,
z rąk do rąk przechodziłem i dzisiaj uwodzę
jak wczoraj swoim pięknem, co nie
[powszednieje].

Przetrwalem. Stoję smukły i wciąż jeszcze
[młody]
wsluchany, zapatrzony w swą boską urodę,
mądry lat tysiącami i przelany winem,
opieczony kłociami o polysku sinym.

EDWARD STACHURA

Deszcz
tropikalny

Pochlebnie przelewasz się Saskio
w silnych ramionach baobabów
rozpiętych nade mną jak rynnny

i chyba pozostanie już
niedościgniony mój język
pod chmurami

bo to nie są chwile
a tym bardziej witraże zazdrości
po których się błądzi świecą
w puszkowaniu gwiazd i pajaków
na lekcję anatomii

Na początku były dzbany
na wzgórzach
i garbach wysokich wielbłądów
ale spalił deszcz ich zieloność
i rozsunęła się smukłość dolin

Solane
po co włosy ściesz co noc
i po co świątynie budujesz z twych dłoni
i niebo prosisz
o miękkie rosyjskie złoto
dla moich oczu

Na początku były dzbany
na wino łagodność i wino

ANDRZEJ TCHORZEWSKI

Mógłbym ułożyć ciała dogorywających
i nie zgasić wieczoru
i przetrwać nad wieczór

To są sprawy jątrzenia

Budowie nad rzeką
Szumowi przyświecają
same będąc ciszą

To są sprawy miłości
Dziewczyn napełnionych księżycem
i tragicznie nieusypiających

To są sprawy krążenia

Wyplatanie siebie

z żył i innej wikliny

beziemiennej rzeki

Gdy czas macha rękawem

a przystań czyni

tylko zwykłym symbolem

odartym z pomostów

wtedy żalność jest we mnie

bo coś zrobiliśmy

z rzeczy może stygnących

może opatrzonych

nazwą zanadto ufna —

rachunek poróżnienia naszego

ze światem

odwieczni dramaturdzy

konflikty spod listka

a liść jest także ciężki

i pełen dążenia

Pociąg
odchodzi 0¹⁵

(Dokończenie ze str. 6)

Mięło jeszcze kilka nocy. Stefan
był prawie nieprzytomny ze zmęczenia.
— Przyzwyczai się pan — mówił
Stary.

Następna noc była gorsza od wszystkich.
Stefan stał w tłoku ludzkim.
Był głodny i dawno już nie miał
papierosa w ustach. Nagle przy okienku
powstało zamieszanie.

— Pilnować swojej kolejki, gdzie
się pan tu pcha! — krzywała kobieta
w futrze.

Po dłuższej chwili Stefan znalazł się
przed okienkiem.

— Proszę o bilet do Dużego Miasta
— rzekł chrapliwym głosem.

Oddał wszystkie posiadane pieniądze.
Szczęśliwy ścisnął w rękę bilet.
Stary też dostał i jeszcze kilka osób.
Zamknęło się okienko.

Rozległ się wrzask. Wygrażano pięściami.
Ponad hałas tłumy wzbijały się
słowa megafonu: —
— Wszystkie bilety, jakie mieliśmy
w planie na dzisiaj, zostały wyprzedane.

Megafon:
— Pociąg osobowy do Dużego Miasta
nadchodzi. Planowy odjazd pociągu
godzina 0,15. Powtarzam...

Nadchodził. Ledwie dosłyszalne
dudnienie. Rosło. Stary dostrzegł nawet
lekkie drgania szyn. Za chwilę
słychać było wyraźne łomot kół.

— Jedzie! — Jedzie! — krzyczano
tu i ówdzie. Chwytało za bagaże.

Gwizd. To już blisko. Widać dym.
Otwarto semafor. Czarny, spocony
oliwą, przyhamowany pociąg, zwalniając
biegu stanął.

Biegając w pośpiechu Stefan zauważył,
że wszystkie wagony są szczelnie
wypełnione podróżującymi. — Może
się uda — myślał. Stary zagubił się
gdzieś po drodze. Pchając się gorączkowo,
ponad głowami innych, Stefan
uczepił się uchwyty ostatniego wagonu.
Pociąg ruszał.

Powoli przesuwały się wagony.
Mijano szare postacie ludzi. Stefan wi-

siał na rękach. Nie miał gdzie postawić
nóg. Wiedział, że długo w ten sposób
nie ujedzie. Prawie mijano stację,
gdy dostał w plecy kamieniem.
Odwrocił twarz. Stary schylił się po
następny kamień. Inni poszli za jego
przykładem. Sypnęły się kamienie.
Zadudniły po ścianach wagonu. Kilku-
nastu ludzi oderwało się od niego jak
gruszki.

Stefan podnosił się z ziemi trąc rozbite
kolano. Nie wiedział, dlaczego
Stary rzucił. Właśnie on — w niego.
Porwała go złość. Pójdzie, zbije Starem
mordę. Albo... Stary... Stary... —
powtarzał z zalem.

Przed nim słabo rysujące się w
mroku szyny. Za plecami światła stacji.
Powoli ruszył z biegiem szyn. Za
pociągiem. Na piechotę musł. Dojdzie.
To nie może być tak daleko jak pówiada-
ją. Schylił się. Dotknął ręką szyn.
Były jakby ciepłe jeszcze. Świeży ślad
pociągu.

Długo szedł. W dzień odpoczywał
leżąc bez ruchu obok nasypu. W nocy
wędrował dalej. Mrok podsycał nadzieję.
Może już wkrótce dojrzy lunę
światła Dużego Miasta. Tam — musi.
W nogach nie odczuwał bólu. Mechaniczne
ruchy, które posuwały go naprzód. —
Coraz bliżej, już coraz bliżej —
myślał, zaciskając zęby.

Tablica: „Chodzenie po torach surowo
wzbronione”. Siercił z toru. Zobaczył
jakiś światła. — Na przelaj bliżej —
pomyślał. — To cel. Brnął w ciemnościach,
wpatrzony, zafascynowany światłem. Potykał
się o bruzdy. Wstawał.

Światło blisko. Kilka latarni. Znów
trafił na tor, który przedtem widocznie
biegł kółdem.

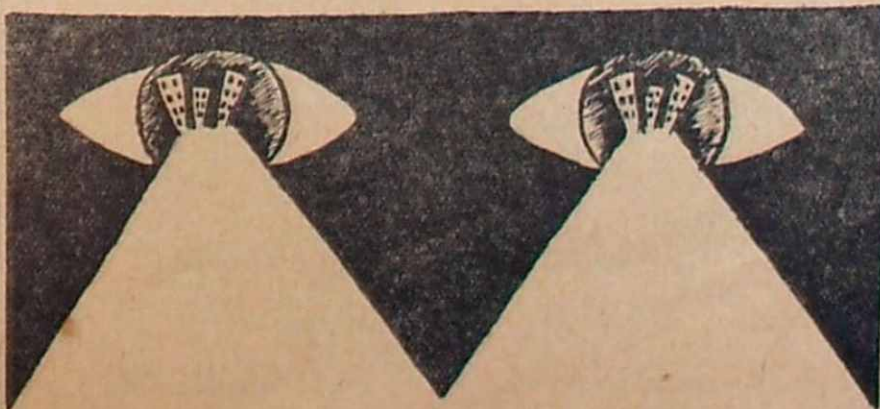
Dlaczego tylko kilka światła? Zaniepokojenie.
Wreszcie zrozumiał: zmierzzał do tego
samego miejsca, z którego wyszedł.

Duże Miasto... — Każdy chce tam
pojechać — myślał. Zawłókl się na
stację. W poczekalni milczący podróżni.
Patrzyli na niego posępni i nieufni.
Milczenie ciche. Bezbarwne.

Stefan rozejrzył się. Niespodziewanie
dla siebie krzyknął:

— Ludzie! — Słyszycie mnie? — Będziemy
budowali swoje Duże Miasto — tutaj!

Jan Stanisław Stefaniak



List do ojca

MAREK JAWORSKI

Szczecin, 30.11.1959 r.

Mój Drogi!

W Szczecinie nazywamy go Wawelem Polski Północnej, a mnie on zawsze kojarzy się z Zamkiem Lubelskim, królującym nad Starym Miastem. Szczecin nigdy już nie będzie miał Starego Miasta. Zniszczone podczas wojny kamienice trudno nawet zrekonstruować. Dziś lepiej budować na ich miejscu nowe bloki mieszkalne. Nowe i nowoczesne.

Na szczęście stary Zamek Książąt Pomorskich przetrwał „dywanowe” naloły anglo-amerykańskiego lotnictwa w 1944 r., choć bomby dały mu się poważnie we znaki. Tak poważnie, że stopień zniszczeń oceniono na 60 procent. Zachowały się jednak mury kapitalne, wszystkie piwnice ze sklepieniami, kaplica i część wnętrza północnego skrzydła, a także sklepienie parteru skrzydła północnego. Z samego wyposażenia wewnątrz nie pozostało jednak nic...

Długo trwał spór na temat przyszłości Zamku. „Zaczekajmy z odbudową. Mamy tyle innych potrzeb” — mówili jedni. „Odbudujmy” — wołali drudzy. — „I tak w Szczecinie musimy zatroszczyć się o nowe sale wykładowe. Potrzebny jest wielki dom kultury. Ulokujmy go właśnie na Zamku”.

Przeciwnicy odbudowy sięgnęli wówczas do innych argumentów. Zamek — domem kultury? Czyż to nie będzie profanacja zabytku?

Dyskusja trwała by zapewne bez końca. I tak wylano już morze atramentu. Trwałaby bez końca, gdyby zwolennicy odbudowy marnowali energię wyłącznie na jałowe przekonania. Oni woleli wybrać inną drogę. Wykorzystując wzmoczone po Październiku zainteresowanie rozwojem Ziemi Zachodnich, zaczęli gromadzić fundusze, wyciągając je z państwowej, społecznej i prywatnej kieszeni. Teraz, gdy spiętrzyły się złośliwości, można było przystąpić do odbudowy Zamku. I przystąpiono. Bez fanfar i głośniejszych wiatów. Jeszcze na łamach miejscowej prasy toczyła się zażarta wymiana zdań, gdy już na dziedzińcu zamkowym pojawili się murarze...

Kiedy odwiedziłeś mnie w Szczecinie podczas tegorocznych obchodów „Dni Morza”, oglądałeś Zamek tylko od strony Odry. Nie mogłeś się nawet zorientować w rozmiarach przeprowadzonych prac. A nie były one łatwe. Badań największe trudności wyłoniły się podczas rekonstrukcji zniszczonych części sklepienia północnego skrzydła. To było kolosalne zadanie, wymagające nie byle jakiej znajomości murarskiego fachu.

Dziś część północnego skrzydła została już — daruj stereotypowy zwrot — oddana w służbę społeczeństwu. Stało się to 23 października. Szczecin wzbogacił się tego dnia o piękną salę kameralną, która niegdyś stanowiła zamkową kaplicę. Pod nią, w podziemiach, znajdowała się krypta z sarkofagami książąt pomorskich. Sarkofagów było czternaście. Wszystkie wykonane z cyny. Część sarkofagów udało się zrekonstruować. Obecnie są one umieszczone w podziemiach zachodniego skrzydła Zamku.

Sarkofagi przypominają tych, którzy tutaj żyli przed wiekami, królowali na Zamku, przerabiając go wielokrotnie na cel dostosowania do aktualnych

potrzeb. O przeszłości mówią też wykopaliska, które w rejonie Zamku ruszyły pełną parą.

Czy wiesz, że badania archeologiczne wyraźnie wskazują na to, iż rejon wzgórza zamkowego od dawna był zamieszkały? Na głębokości 5 metrów, po przebitiu się przez 10 warstw osadnictwa wczesnośredniowiecznego, natknięto się na przedmioty dokumentujące istnienie tutaj osadnictwa prasłowiańskiego sprzed 2.500 lat!

Byliśmy tu więc przed wieloma wiekami. A sam Zamek również łączy się z naszą, polską historią. Stąd wyruszyły na wyprawę grunwaldzką wojska Kazimierza VI, wspomagające Jagiełłę. Kazimierzowi nie poszczęściło się wówczas, dostał się do krzyżackiej niewoli, ale fakt historyczny nie na tym nie ucierpiał. Tutaj, na Zamku Szczecińskim, odbyło się 2 lutego 1491 roku wielkie weselisko, gdy Bogusław X, książę pomorski, pojął za żonę Annę Jagiellonkę. Na dziedzińcu zamkowym stanęli w szranki polscy rycerze.

Cóż, nie udało się nam, niestety, wówczas bliżej związać Pomorza z Polską, chociaż istniały ku temu odpowiednie warunki. Jagiellonowie, zajęci Wschodem, zaprzepaścili wielką historyczną szansę, odrzucając propozycję Bogusława X, który chciał złożyć hołd Polsce.

Ale nie będę Ci przecież robił wykładu historii, chociaż ostatnio bliżej zainteresowałem się przeszłością Ziemi Szczecińskiej. Nie mogę jednak nie wspomnieć jeszcze i o tym, że Zamek Szczeciński był w 1711 roku siedzibą polskiego monarchy. Wówczas bowiem król Szwecji Karol XII ofiarował tę rezydencję swojemu sojusznikowi, Stanisławowi Leszczyńskiemu, który pozostał w konflikcie z Augustem II.

Dzisiejsza odbudowa Zamku nie jest łatwym zadaniem. Chodzi już nie tylko o sklepienia, o czym już wspominałem. Architekci stanęli przed o wiele ważniejszym, węzłowym problemem: jaki styl ma mieć budowla.

Inż. Andrzej Korzeniowski, pełnomocnik do spraw odbudowy Zamku, tak o tym mówi:

— W formie zewnętrznej Zamek dotrwał do roku 1959 z elementami trojakiego rodzaju: późnogotyckimi o cechach przejściowych, renesansowymi pochodzącymi z trzech faz budowy, i późniejszymi, głównie XIX-wiecznymi, przeróbkami. Nie rezygnując z rekonstrukcji, trzeba było zdecydować się na nadanie Zamkowi jednolitego wyrazu architektonicznego, oczyszczonego z późniejszych naleciałości. W efekcie postanowiono nadać Zamkowi charakter renesansowy. Usunęliśmy więc wybudowaną w 1842 roku na północno-wschodnim narożniku wieżę, loggie i tym podobne elementy, nie harmonizujące z całością. Przywracamy strzelisty, kryty blachą miedzianą hełm na Wieży Dzwonów, renesansowe zwieńczenia dachów, elewację i szereg elementów w sylwecie. Wewnętrzny „wystroj” pomyślano jednak skromnie i surowo. Nosić on będzie charakter typowo zamkowy, a nie pałacowy.

W sferze dyskusji jest jeszcze sprawa krążganków na podwórku zamkowym. Swego czasu Zamek je posiadał. W późniejszym okresie zostały zniszczone. Przywrócenie ich upodobniłoby w jakimś sensie nasz Zamek do Wawelu. Stworzyło wprost idealne warunki do organizowania tu wielkich imprez artystycznych na wolnym powietrzu...

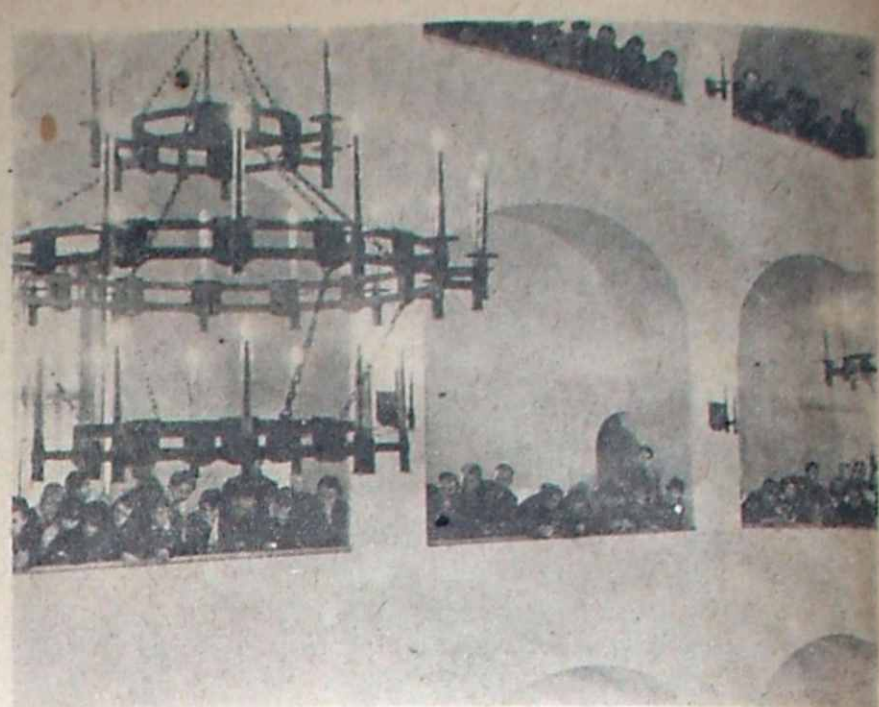


Foto A. Weezer

Tyle inżynier. Ja pragnąłbym Ci jeszcze skreślić kilka słów na temat zegara. Aż prosi się on o wiersz! Jego szczytki można oglądać stojąc na dziedzińcu zamkowym. Zegar ów był kiedyś wielką atrakcją. Wykonany pod koniec XVIII wieku przez Kaspra Ritarę, Szweda, posiadał dwie tarce — dużą środkową, która pokazywała godziny, i mniejszą, niżej, wskazującą minuty. W dużej tarce znajdowała się maska, której oczy poruszały się zgodnie z ruchami wahadła, a w otwartych ustach wyskakiwała co 24 godziny data dnia. Nad tarczami zaś wychylała się postać błazna, który kłapał szczęką, zamykał i otwierał oczy, wybijając młotkami godziny i kwadransy. Ten zegar też pragniemy wyremontować. Nie sami, ale przy pomocy Szwecji. Niech już będzie ta... ciężkość historyczna.

Mój drogi, kończąc list, chciałbym Ci jeszcze w kilku słowach wspomnieć, czym będzie dla Szczecina Zamek. Może przy okazji zrobić porównanie z Zamkiem Lubelskim.

A więc w skrzydle północnym mieścić się będzie sala kameralna na 400 miejsc, przeznaczona głównie na koncerty i dla Teatru Propozycji, Klubu Studentów i Młodzieży, sale wystawowe, a także największa w mieście kawiarnia.

Skrzydło wschodnie zostało przeznaczone na Wojewódzki Dom Kultury, sale wykładowe, bibliotekę, czytelnie, gabinet pracy metodycznej, pracownię plastyczne, pokoje muzyczne i dramatyczne.

W skrzydle południowym mieścić się będzie sala widowiskowo-kinowa na 780 miejsc oraz zrekonstruowane sale historyczne.

Na temat skrzydła zachodniego trwają jeszcze spory. Miał tu być zlokalizowany hotel turystyczny, ale nie wszyscy godzą się z tym projektem.

Trudno w tej chwili autorytatywnie powiedzieć, kiedy Zamek zostanie całkowicie odbudowany. Optymiści mówią o 1961. Pesymiści o 1966 r.

Je należą w tym wypadku do pesymistów. Ale uważam, że nawet 10 lat odbudowy to nie jest zbyt długi okres, gdy chodzi o Zamek. Lepiej robić wolno a dobrze, niż szybko i po tebkach. Myślę, że zgodzisz się ze mną. Zdzęmy w każdym bądź razie na 1000-lecie Państwa Polskiego. A Zamek będzie przecież najtrwalszym i najlepszym (broń Boże nie neguję roli szkół — pomników) pomnikiem Tysiąclecia w Szczecinie.

Serdecznie Cię całuję i proszę, abyś więcej dbał o siebie. „Vita nostra...”

Marek

Kto powinien zająć miejsce księżnej?

WŁODZIMIERZ WÓJCIKOWSKI

Kompleksy to rzecz ciekawa. Interesujące jest śledzenie ludzi z kompleksami i wyjaśnianie sobie przyczyn ich uczucia. Kto jednak by się spodziewał, że można spotkać się z kompleksem na miarę powszechną. I to dwukierunkowym, którego korzenie tkwią z jednej strony w historii, z drugiej we współczesności. Jego siedliskiem są — Puławy.

Na pozór nieczym się nie wyróżniają spośród innych miast w województwie lubelskim. Chyba tylko tym, że mają oświetlenie jarzeniowe (zrobione „własnym przemysłem”, systemem gospodarczym), że należą do najczystszych w województwie, są jednym z najlepiej „rządzonych”. Konieczność chcą wziąć pierwszą nagrodę w konkursie czystości (te pół miliona — „ulożyłoby się nowe chodniki”).

Chcą stać się poważnym ośrodkiem czasowym. Już budują plażę. Też systemem gospodarczym.

A poza tym? Mają ciekawe plany rozbudowy miasta, mają swoich zapalonych patriotów i działaczy. Ich ludzie są bardzo dumni z swojej miejscowości. W Prezydium MRN mówimy na temat możliwości udziału Puław w pewnej pracy społecznej. Oczywiście — podejmą, wezmą udział. „W Puławach są szanse. Trzeba zrobić! Kto zrobi, jak nie Puławy?”

I to je bardzo wyróżnia. Pod tym względem tradycja bardzo dobrze działa na miasto. Ba, było przecież kiedyś

obok Warszawy — obok Warszawy! — ośrodkiem kultury.

W tym jednak tkwi jednocześnie jeden z kompleksów Puław — kompleks „niedorastania” do tradycji. Niegroźny zresztą i ledwie wyczuwalny, niewolany dość aktywnym życiem kulturalnym, rozbudową, planami. Dalsza kontynuacja tych czynników to wielka szansa dla miasta na przyszłość; przyszłość, która już się rozpoczęła. I to zaledwie w pewien sposób uczucie na tradycję.

Ale mają również Puławy swoją wielką, nie wykorzystaną szansę. Ich mieszkańcy mówią o tym niechętnie, z zażenowaniem. I w tym tkwi źródło ich poważnego uczucia.

Przewodniczący Zarządu Oddziału ZNP mówi z goryczą: „To takie państwo w państwie”. „Gdzież oni by tam chcieli rozmawiać z prostymi naukowcami!” — dopowiada sekretarz.

Trudno uwierzyć. Przecież już sam fakt istnienia Instytutu powinien domniawać w mieście, być jego „centralnym” akcentem. Powinien aktywizować środowisko.

Rozmowy na ten temat z przewodniczącym Prezydium MRN J. Trześniakiem, sekretarzem Prezydium T. Miśturskim, później z I Sekretarzem KP PZPR Zarychłą zaczynają się od słów „już przecież sam fakt istnienia Instytutu...” itd. Zgadza się. Jednak tak nie jest. (I ciągle ten kompleks, którego nie dostzega się tylko u Sekretarza KP: „to się powoli zmienia; już podjęliśmy środki...”). Owszem, aktywnie działa Towarzystwo Przyrodników im. Kopernika. Ale Instytut nie angażuje się w życie miasta. Rozumieją, że to placówka badawcza, placówka o zasięgu ogólnopolskim, o wielkiej wadze. Ze jej pracownicy nie mają wiele czasu — mają go bardzo mało.

Toteż idą Instytutowi jak mogą na rękę. Nawet w sprawach tak bardzo drażliwych jak mieszkanie („...ludzie przychodzą, mówią, że stoją puste — jak im wytłumaczyć...”). Nie wtrącają się jednak w te sprawy, rozumieją

(Dokończenie na str. 11)



Zamek Szczeciński

Foto A. Weezer

Kto powinien zająć miejsce księżnej?

(Dokończenie ze str. 10)

racje Instytutu, zgadzają się z nimi. Rozwijające się dużym kosztem doskonale wyposażone Zakłady nie mogą pozostać pustą. A kto tu przyjedzie, jeśli nie będzie miał mieszkania? Krejdytów na budowę nowych na razie nie będzie, budujące się nie będą gotowe do czasu oddania laboratoriów do użytku.

Instytut jest placówką badawczą o charakterze ogólnopolskim. Ma do rozwiązania problemy o charakterze ogólnopolskim. Jego placówki są rozrzucone po całym kraju (w samych Puławach pracuje 120 pracowników naukowych Instytutu — 180 w innych ośrodkach). Ale centrala znajduje się w Puławach; ta jego część, która jest tutaj, nie powinna ich chyba traktować jako obojętnej miejscowości, które może znajdować się wszędzie, powinna zwrócić szczególną uwagę na miasto, nie stanowiąc w nim „gęsta”. Nie chodzi w tej chwili nawet o sprawy całego powiatu (to wymagałoby osobnego artykułu) — chociaż jeśli w Puławach utworzono Instytut, to chyba ze względu na fakt, że jest tu dla niego wiele do roboty. Już tylko z tego względu, że znajduje się w Puławach, powinien poświęcić powiatowi w pierwszym planie więcej miejsca. Weźmy np. taką sprawę ziemniaków. Przeciętne ich zbiory w powiecie puławskim wynoszą 150 q z ha. Naukowcy Instytutu już od kilku lat osiągnęli 300, a nawet ponad 300 q. I to jeszcze nie jest upowszechnione. Wydaje się, że gdyby nawet rolnikom udało się na podstawie doświadczeń Instytutu osiągnąć 200 czy nawet mniej, warto te doświadczenia upowszechnić.

Ale nie wnioskujmy głębiej w te sprawy (puławianie dopatrują się w nich

złotego podtekstu). Chodzi tu o samo miasto.

W życiu społecznym panuje zasada wyrównania do „najwyższego”, do grupy z różnych względów najbardziej „atrakcyjnej”, o uznanej randze. Na nią kieruje swe oczy środowisko i stara się „podciągnąć” w swoim zakresie do jej poziomu. Grupę taką stanowi w Puławach Instytut.

Miasto ma wprowadzić aktywną MRN, duże środowisko nauczycielskie i inteligentne, Dom Kultury. W ich inicjatywach bierze udział całe społeczeństwo. Ale w tym rzecz, że te grupy również patrzą na Instytut. Jego nastawienie działa hamująco na miasto.

Nie wymagają oni od niego „cudów”, włączenia w cały nurt jego życia. Niech uczynią to tylko w swoim zakresie. Jest w tej chwili siła, która może zastąpić Puławom Czartoryskich. I swoim działaniem, rangą społeczną — zlikwidować niezdrowy kompleks „niedorastania” do jego poziomu. Z pewnością wyjdzie to na korzyść i prowadzonym przez niego pracom naukowym o ogólnopolskim charakterze. Na wielkie problemy dobrze jest czasem spojrzeć z mniejszej perspektywy, od strony powiatu.

Puławom również nie wolno zaprzepaścić istniejącej przez to szansy.

Włodzimierz Wójcikowski

WAŻNA UCHWAŁA

Wyciąg z protokołu Nr 23/84/59 z posiedzenia Zarządu Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej w dniu 30.XI.1959 r.

UCHWAŁA NR 170/496/59

Dla uczczenia 25-lecia śmierci Józefa Czechowicza, wielkiego poety lubelskiego, Zarząd LSW postanawia:

1. Wydać w latach 1961—1964 dzieła J. Czechowicza obejmujące:
 - utwory poetyckie
 - prozę
 - listy poety
2. Wydać monografię poety
3. Dla zapewnienia najwyższego poziomu edycyjnego dzieł poety powołać Komitet Redakcyjny i zaprosić do udziału w jego pracach najwybitniejszych znawców twórczości J. Czechowicza.

Zarząd

Krasiński - Schiller - Skwarczyńska

JÓZEF SMOSARSKI

Nasza wiedza o dziejach scenicznych arcydzieła polskiego dramatu romantycznego została wzbogacona cenną pozycją Stefani Skwarczyńskiej. Pokażących rozmiarów tom odstrasza objętością, jednak w trakcie lektury początkowe opory nikną, ustępując miejsca zainteresowaniu obfitym, ale rygorystycznie uporządkowanym materiałem.

Zadaniem dzieła jest „określenie roli twórcy na gruncie tradycji jego sztuki”, a to wywołało konieczność uwzględnienia tła porównawczego, na które złożyły się wszystkie inscenizacje „Nieboskiej komedii” w kraju i za granicą, omówione w porządku chronologicznym. Wśród uwag wstępnych natury metodologicznej sporo miejsca poświęcono zagadnieniu stosunku adaptacji scenicznej do utworu macierzystego, co poważnie wpływa na wybór kryteriów wartościowania sztuki. Autorka ukazuje związki i zależności poszczególnych opracowań teatralnych „Nieboskiej” po to, aby wykazać znaczenie inscenizacji schillerowskich potraktowanych jako całość rozwojowa, z uwzględnieniem jednak indywidualnego charakteru każdej z nich.

Dramaturgiczno - inscenizacyjnym opracowaniem „Nieboskiej” Leona Schillera patronuje w sposób szczególny mickiewiczowska idea teatru monumentalnego. Stąd bodaj najważniejszy tytuł do sławy wielkiego artysty jako wykonawcy woli poety. Wystawienie „Nieboskiej komedii” w

1) St. Skwarczyńska: „Leona Schillera trzy opracowania teatralne „Nieboskiej komedii” w dziejach jej inscenizacji w Polsce”, Inst. Wyd. Pax, Warszawa 1959.

opracowaniu Schillera na scenie teatru im. Wojciecha Bogusławskiego w roku 1926 uważa Skwarczyńska za jednoczesną kontynuację i przełamanie dróg polskiej tradycji teatralnej.

(Dokończenie na str. 12)

JÓZEF WIESŁAW ZIĘBA

Ballada o przejściu

Wieczór ukosem położy czerwone [rękawy wyciągnięte w poprzek kiedy się staniesz bezradny jak dziecko

Z obroży czasu przejdiesz przez czerwień pośpiesznie

A z tamtej strony a z tamtej strony o hej

Do kieszeni włożysz obie ręce i będziesz wyciągał dni [od którychś niekiedy jak z blaszanek pustych

Przelicysz ostatnie monety i powiesz — weź już nie potrzebne — weź

A z tamtej strony a z tamtej strony zmierzch twe ślady przetrze o hej o hej

BRONOWICKI eksperyment

(Dokończenie ze str. 2)

kę. Chyba że ktoś decyduje się na poświęcenie dodatkowych 20 zł i bierze taksówkę.

Toteż kiedy wreszcie stało się wiadome, że z „piętnastki” wyprowadza się ponury sklep, mieszkańców osiedla ogarnęło podniecenie: co teraz będzie w tym pustym lokalu? Jak szybko zajmą go „dzicy” lokatorzy? A kiedy wreszcie zaczęli tam roboty stolarze itd., kiedy gruchnęło po osiedlu, że będzie tu dzielnicowy klub, większość ludzi z rozczarowaniem wzdrygała ramionami: Przecież za miesiąc śladu nawet po tym remoncie nie będzie. Chłopaczyska wszystko zbrudzą, zniszczą, zmarzną.

Otwarcie klubu minęło w życiu osiedla prawie niepostrzeżenie. Tylko czytelnicy, idąc do biblioteki, ze zdziwieniem dostrzegali zmiany. Hall i klatka schodowa zyskały ściany o ciepłej barwie stłumionej czerwieni, ożywiły się kolorowymi afiszami i ceramiką, posadzka nabrała połysku, a naprzeciwko drzwi wejściowych stanęły cepeliowskie wyplatane fotele i stoliki. W hallu rozpoczął też urzędowanie znany w Lublinie portier o patriarchalnym wyglądzie — Jan Krzywdzik, który takim wymownym wzrokiem zaczął obrzucać zabocone obuwie czytelników, że z zazenowaniem czym prędzej czyścili je o wycieraczkę.

Kierownictwo klubu wydział kultury PMRN w Lublinie powierzył pracownikowi Mieczysławowi Ciesielskiemu, człowiekowi pełnemu energii, działaczowi kulturalnemu z prawdziwego zdarzenia. Jego zadaniem stało się przede wszystkim pozyskanie zaufania mieszkańców osiedla i organizowanie klubu tak, aby mógł spełniać swoją właściwą rolę.

Wydział kultury nie pozostawił tej nowej placówki własnemu losowi. Klub dzielnicowy na ZOR-Bronowicach potraktował jako eksperyment, który miał udowodnić celowość i konieczność tworzenia właśnie ośrodków tego rodzaju. Od dawna już bowiem kierownik

wspomnianego wyżej wydziału, Bolesław Resch, udowodniał niecelowość ogromnych nakładów pieniężnych topionych przez poszczególne zakłady pracy w swoich przyfabrycznych świetlicach. Jego twierdzenie, że człowiek chce wypoczywać raczej w miejscu swego zamieszkania i tam stara się nawiązywać stosunki towarzyskie, a także tam szuka rozrywek kulturalnych, miał w pełni potwierdzić eksperyment bronowicki.

Nim jednak do tego doszło...

Zaczął się od zaglądania przez ogromne, celowo nigdy nie zasłaniane okna sali na dole. Wabiły barwnymi okładkami polskie i zagraniczne czasopisma. Na ścianach koloru jasnego popiołu krzyczała wszystkimi barwami wystawa abstrakcyjnych prac lubelskich artystów. Było w tym krzyku coś z wesolego jazzu i coś ze smutnych piosenek Sławy Przybylskiej. Ciągnęło. Niepokoiło.

Od tych niełatwych początków minął rok. Rok życia kulturalnego osiedla. Jak on wyglądał?

Były więc, oprócz tej już wyżej wspomnianej, cztery wystawy: akwarel Csorby, grafiki polskiej, akwarel Zalewskiego, a także przeznaczona specjalnie dla amatorów radiotechniki wystawa dyplomów i dowodów łączności QSL inż. E. Kawczyńskiego (mieszkającego zresztą na ZOR). Były wieczory literackie połączone ze spotkaniami z młodymi i starszymi twórcami. Były trzy wspólne wycieczki do teatru. Były odczyty na temat aktualnych wydarzeń politycznych i z okazji różnych rocznic. Było wreszcie jedenaście estradowych imprez artystycznych. Dzięki energii i zaradności kierownika klubu, z funduszy SFOS zakupiono aparaturę do wyświetlania filmów bez przerw (dzięki temu powstało stałe kino czynne cztery razy w tygodniu) oraz telewizor.

Aby klub na ZOR-Bronowice był naprawdę klubem mieszkańców osiedla, działalność jego poprowadzono według zasady: coś dla każdego. Gdy ważymy na różnorodność zawodów i zainteresowań tego niemal dziesięciotysięcznego skupiska ludzkiego oraz na ogromną rozpiętość wieku, zadanie było trudne. Uczyniono więc mariaż doskonały z miejscową biblioteką i przystąpiono zgodnie do dzieła. Po roku pracy wyglądało to tak: dla maluchów raz w miesiącu przyjeżdża Teatr Aktora i Lalki. W każdą niedzielę zarówno dzieci jak i w ogóle wszyscy amatorzy filmowych bajek oglądają je na specjalnych porankach.

Dzieci chodzące do szkoły mają uroczą czytelną dziedkę, prześliczną urządzoną, ze złotymi rybkami w akwariach, papużkami inseparables, wieczorami bajek, własnym zespołem artystycznym, no i przede wszystkim z bogatym księgozbiorem baśni, przygód, podróży i powieści. Piękno otoczenia obowiązuje. Dzieci bez protestu myją ręce przed zabraniem się do czytania. Są bardziej niż w domu wrażliwe na słowa pochwały czy nagany. Uczą się kultury zachowania „na codzień”.

Z bibliotekę, podobnie jak i z seansów filmowych, korzystają oczywiście wszyscy.

Poza tym dla amatorów zorganizowano w klubie specjalne sekcje: bridge'ową, szachową oraz instrumentalną (dwa zespoły muzyki rozrywkowej).

Ze specjalną troską pomyślano też o pracujących i „nie pracujących” kobietach z osiedla. W niewielkim pokoiku urządzono dla nich poradnię krawiecką „Szyję sama”. Jest tu ogromne lustro, maszyna do szycia, z której zawsze można korzystać, masa polskich, francuskich, amerykańskich i wszelkich innych żurnali, no a przede wszystkim

estradowe podwyższenie w sali kinowej.

Czy to już wszystko o klubie? Oczywiście nie. Trzeba jeszcze powiedzieć o wielu problemach kulturalnego życia osiedla, których rozwiązanie nie leży, niestety, w obecnych możliwościach klubu. A więc przede wszystkim ciasnota. Okazuje się, że 90 miejsc na sali kinowej to stanowczo zbyt mało, aby pomieścić wszystkich chcących obejrzeć film czy też wziąć udział w imprezie. W sali klubowej na dole, wieczorami, zaczyna już brakować nie tylko wolnych stolików, ale i krzeseł. Sprawa większego pomieszczenia staje się z każdym dniem sprawą bardziej istotną i pilną. Czy na taki cel znajdują się fundusze w naszych oszczędnościowych budżetach?

Pierwszy rok „eksperymentu” wykazał ponad wszelką wątpliwość celowość, ba, więcej, konieczność tworzenia takich właśnie dzielnicowych klubów. I to nie na poziomie biurowych krzeseł i odrapanych stolików, puszystych kotar i fałszywych marmurów, ale na poziomie przeżyć prawdziwie estetycznych.



Przy nowym aparacie filmowym

instruktorka, która pomaga wybrać fason, skroć, uszyć.

Pokój telewizyjny to właściwie kwintesencja współczesności. Odbiornik z dużym ekranem, oryginalne tkaniny, nowoczesne krzesła i wreszcie czarno-czerwony stolik pod telewizor. Stolik, jakiego nigdzie nie znajdziecie. Zrobili go bowiem według projektu kierownika trzej przyjaciele klubu — młodzi robotnicy: Leszek Furmanek, Zygmunt Kolasa i Henryk Zak. Ich dziełem są także niezwykle, funkcjonalne półki w barze kawowym oraz

A więc po roku istnienia dzielnicowego klubu na ZOR-Bronowicach można już z całą pewnością stwierdzić, że eksperyment się udał. Jakie wnioski wyciągnie z tego Miejska Rada Narodowa w Lublinie? Czy można się spodziewać, że bliźniacze rodzeństwo bronowickiego klubu zacznie się rozwijać na Dziesiątej, Tatarach, za Cukrownią i w innych odległych dzielnicach? Mieszkańcom tzw. peryferii życzymy tego z całego serca.

A. T.

D Z W O N ZYGmunTA

ZBIGNIEW BIEGAŃSKI

Od pewnego czasu zacząłem odczuwać w moim życiu pustkę, spowodowaną brakiem własnego, przeznaczonego do mojego wyłącznie użytku — Dzwonu Zygmunta.

Wszystkie ważniejsze wydarzenia w moim życiu, wszystkie zawile zakrętasy moich losów, momenty wiekopomne, podniosłe, radosne w skutkach czy też tragiczne — przetaczały się przez moją świadomość jak międzynarodowy ekspres przez małą stacyjkę: z gwałtownym hukiem, zostawiając tylko krótkotrwałą smugę dymu, bez żadnych jednak konsekwencji i nadziei na przyszłość.

Potrzebowałem koniecznie Dzwonu Zygmunta, który by mi każdą taką chwilę utrwalił w świadomości i przedłużył w nieskończoność. On by sobie po prostu dzwonił zawsze tak samo, a ja wiedziałbym już, czy to jest dzwon na trwogę, czy też w danym wypadku oplewa on jakiś radosny moment mego życia. Zawiesiłbym sobie tego Zygmunta gdzieś w kącie pokoju albo może w przedpokoju czy nawet wprost nad łóżkiem.

Złożyłem sobie książeczkę Pekao i zacząłem ciulać ziołcisze na kupno dzwonu. Najgorsze jednak było to, że zupełnie nie miałem pojęcia, u kogo mogę taki dzwon kupić lub przynajmniej zamówić. Nie chciałem rozpytywać na lewo i prawo, bo uważałem, że to jest sprawa raczej intymna i jak najbardziej indywidualna — taki dzwon w mieszkaniu. Znajomi wy-

śmialiby mnie, sąsiedzi przestraszyli by się i sprawa w najlepszym wypadku oparłaby się o komitet blokowy. Musiałem działać nadzwyczaj ostrożnie, a równocześnie energicznie, bo stale przeżywałem jakieś podniosłe chwile i przykro mi było, że nie mogę sobie z tej okazji pobimbać moim Zygmuntem.

Nie mogąc się już doczekać — kupiłem sobie zastępczo dzwonek elektryczny, taki, jakiego w dawnych czasach używano do przywoływania pokojówek w hotelach i bogatych domach.

Przeżywałem wtedy bardzo absorbujące chwile w moim życiu: dałem sobie wyrwać bardzo trudny ząb. Przychodzą po tej operacji do domu, boli mnie jak wszyscy diabli — wobec tego przyciskam ten dzwonek i czekam niecierpliwie, aby mi pomógł pograć się w jeszcze intensywniejszej boleści.

A ten drań nic. Nie było akurat prądu. I znowu ważna chwila w moim życiu przeleciała ot tak sobie — bez echa, bo szczęka przestała mnie zaraz boleć po przepłukaniu szalwią.

To wydarzenie jednak utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie mogę się chwycić półśrodków, bo to nie da mi nigdy pełnej satysfakcji. Dzwonek odstąpiłem znajomym, którzy dopiero ostatnio po raz pierwszy zafundowali sobie pomoc domową — a sam rzuciłem się zażarcie w wir starań o wymarzony dzwon.

Niestety nie udało mi się nigdy zdobyć go. Tak mnie ta sprawa zgnębiła, tak mi odebrała wszelką chęć do życia, że pewnego popołudnia poszedłem na Wawel, wdrapałem się z jakąś szkolną wycieczką na wieżę, na której znajdował się mój wymarzony Zygmuś, przyjrzałem mu się z leką w oku i wyskoczyłem przez okno.

Z przykrością muszę donieść, że nawet na okazję mego pogrzebu Dzwon Zygmunta nie odezwał się, szelma.

Krasiński — Schiller — Skwarczyńska

(Dokończenie ze str. 11)

Wierność dla tradycji przejawia się w dążeniu do zrealizowania mickiewiczowskiego ideału teatru monumentalnego o charakterze ludowo-narodowym, natomiast nowatorstwa dopatruje się autorka w podjęciu treści rewolucyjnej utworu, z zachowaniem jednak pełnego tekstu i bez zmian w wewnętrznym układzie materiału.

Druga inscenizacja „Nieboskiej” Leona Schillera w łódzkiej Teatrze Polskim w r. 1938 wniosła jako istotne novum nasycenie monumentalnych kształtów realizmem zaczerpniętym z codziennych zjawisk życia społecznego proletariatu. Na tej samej linii ewolucyjnej należy umieścić trzecie z kolei opracowanie dramatu Krasińskiego z r. 1949, które jednak nie doczekało się realizacji na scenie.

W rozdziałach o Schillerowskiej koncepcji scenicznej „Nieboskiej komedii” powtarza się kilkakrotnie zdanie wielkiego artysty, że „utwór dla sceny oczyma reżysera odczytuje zawsze Historia”. Może więc na karb

NOTY

W SPRAWIE STANISŁAWA BRZOWSKIEGO. Przed pół rokiem w związku z przypomnieniem przez Mieczysława Srokę w „Świecie” sprawy Stanisława Brzozowskiego, nawiązując do zamieszczonego w „Twórczości” (nr 2, r. 1958) artykułu Jerzego Sroki „Stanisław Brzozowski i Maksym Gorki” i „Pamiętnika o Brzozowskim” Walentyny Kolberg-Szallitowej ze wstępem M. Sroki (nr 5, r. 1957), sugerowaliśmy konieczność wydania przez odpowiednią komisję ostatecznego werdyktu uwalniającego pisarza-męczennika od krzywdzących go zarzutów, które niezależnie od choroby w dużym stopniu wpłynęły na przedwczesną śmierć krytyka i filozofa. Ostatni nr „Twórczości” (11 rb.) zawiera esej Włodzimierza Maciąga („Stanisław Brzozowski”) stwierdzający w konkluzji „trwającą aktualność” autora „Legendy Młodej Polski” (Maciąg przypomniał tam artykuły A. Stawara w „Polityce” i M. Sroki we „Współczesności” i „Świecie”). Biorąc to wszystko pod uwagę, apelujemy do nowego Zarządu Głównego ZLP o zajęcie się tą bolesną i tak długo ciągnącą się sprawą. Przypominamy, że M. Sroka wspomina o tajemniczym liście Bakaja, głównego świadka oskarżenia w sądzie partyjnym. W liście tym Bakaj miał jakoby cofnąć swoje zeznania, jako oparte na nieporozumieniu, i stwierdzić, że Brzozowski jest niewinny. Na twórcy „Płomieni” uczuły się przynajmniej dwa pokolenia, a i dzisiaj do niego wracamy. W stosunku do Brzozowskiego nie możemy oddzielić pisarza od człowieka. To nie Hamsun.

MITY. Po „Nowej Kulturze” z kolei i „Twórczości” (nr 11) uwzględniła dwudziestolecie śmierci Czechowicza. Znajdujemy tu interesujące wspomnienia Stanisława Piętaka i Jerzego Zagórskiego („Preceptor”), to ostatnie zawierające między innymi nie odpowiadającą prawdzie rewelację, jakoby autor „Nuty człowieczej” miał brata przyrodniego — Henryka. A tymczasem Henryk — to drugie imię poety; Czechowicz lubił się nim poślugiwać. W tym samym n-rze „Twórczości” Arnold Stucki, omawiając ostatni zbiorek wierszy Piętaka, nawołuje we wstępie do „lubelskiej awangardy”, wspomina o „lubelsko-chelmskich peperowcach” i podaje zgoła mylne informacje: „Reflektor” nie ukazywał się „z przerwami w latach 1921—27”, lecz — podajemy dokładne daty: nr wstępny (red. W. Gralewski) — czerwiec 1923, nr 1 (red. K. Bielski) — listopad 1924, nr 2 — marzec 1925, nr 3 (ostatni) — maj 1925. Co się zaś tyczy „chelmskich peperowców”, nie nam w tej sprawie nie wiadomo: w „półwie lat dwudziestych” poza niżej podpisanym nikt się poezją w tym mieście nie parzył; zbiorci młodych poetów w Chelmie (Jan Szczawieja, Witold Kasperki, Wacław Mrozowski, Zdzisław Popowski, Wacław Iwanuk) zaczęli się ukazywać dopiero w latach trzydziestych (pierwszy — „Miłość tworząca” Szczawieja w r. 1930). Nikt z nich nie uległ wpływowi Pepera.

-kaj-

O czym pisała „Kamena” przed 25 laty

Nr 14 „Kamena” (grudzień 1934) zawierał artykuł Stanisława Czernika „Wieloletnia interpretacja” wiersze J. Mondscheina, A. Madaja, K. A. Bielskiego, W. Kasperkiego, J. Srogi, K. A. Jaworskiego, kronikę ukraińską, wiersze poetów ukraińskich: P. Tyczyni, S. Hordynskiego, E. Malanika, B. Krawcowa, M. Rybskiego, B. J. Antycza, J. Jaryja i B. Kabarińskiego w spolszczeniu K. A. Jaworskiego, poezję niemiecką (Heine — tłum. L. Lewin, von Lillencron, Mombert, Loerke — tłum. S. Napieraki, Falke — tłum. Z. Wańsiewski, Traki, Hasenclever — tłum. P. Hert, Klambund — tłum. I. Berman), nowelę Wł. Dunarowskiego, przegląd najnowszych książek — J. N. Kłosowskiego, noty i wkładkę ilustrowaną z Wańsiewskiego; ilustracja do „Spowiedzi chuligana” Jesienina.

OBRACHUNKI SERDECZNE

(Dokończenie ze str. 5)

zresztą niekiedy w prymityw ową relację, wulgaryzuje i upraszcza subtelne przeciwieństwo i wrażliwe, poetyckie, ludzkie „ja” Liskowackiego, eksploatuje zaborczo jego autobiografię, cytowaną w „Lądach bez tajemnic” niejako „na żywo”, bez należytej i ekonomicznej obróbki warsztatowej. Stąd wiele fragmentów zwłaszcza „Rozmów z miastem” zostaje przekazanych czytelniku

kowi zgoła w lirycznym projekcie, szkicu, wywołującym żal za niespełnioną realizacją zaznaczonych jedynie niedbale obietnic i propozycji. Oby ów żal nie psuł mi lektury następnym równie serdecznym, a więcej poetyckich obrachunków Liskowackiego ze sobą i ze światem, w jakim przypadło żyć jemu i nam.

Zbigniew Pędziński

cializm ukazuje nam naprawdę trudny i pełen przygod szlak bojowy polskiego komunisty.

W „Książce i Wiedzy” para pisarzy Boguszevska-Kornaicki opublikowała swój pamiętnik z epoki tworzenia się grupy „Przedmieście”, nadając mu tytuł: „ZIELONE LATO 1924” (opr. płóc., c. 21, nakł. 7.000), a w PIW-ie znów — H. Mortkowicz-Olczakowa swój „BUNT WSPOMNIENI” (opr. płóc., c. 21, nakł. 7.000), stanowiący barwną panoramę wydarzeń intelektualnych i artystycznych ostatniego półwiecza.

W PIW-ie ponadto ukazał się w opracowaniu M. Jastruna wybór listów, poezji, i prozy K. C. Norwida pt. „PAMIĘTNIK ARTYSTY” (opr. płóc., c. 21, nakł. 5.000). Dobrą, miłą w czytaniu pozycją jest wydany przez „Iskry” zbiór reportaży grupy utalentowanych naszych dziennikarzy, któremu redaktor tomu — A. Mularczyk — dał wymowny tytuł: „KROPKA, ALE NIE KONIEC” (opr. brosz., c. 21, nakł. 5.000), inna natomiast pozycja tego wydawnictwa — J. S. Stawińskiego „SZESĆ WCIELEN JANA PISZCZYKA” (opr. brosz., c. 21, nakł. 10.000) stanowi w dorobku pisarskim tego autora wyraźny regres, gdyż satyryczny jej pokój obliczony był chyba na niewyrobiony zmysł dowcipu „szerokich mas odbiorców”.

Listę wznowień dzieł literatury rodzimej otwiera druga seria twimowskiego „CICERUM CAULE”, wydana w „Czytelniku” (opr. brosz., c. 21, nakł. 10.000). Ponadto w tym samym wydawnictwie ujrzymy wznowione w cyklu „Biblioteki Powszechnej” pięciotomowe „NOCE I DNI” M. Dąbrowskiej (opr. brosz., c. 21, nakł. 20.000) — oczywiście pierwszeństwo w zakupie mają subskrybenci „BP”. Także „Czytelnik” wznowił (po 29 z górą latach) A. Swiderskiej „PROMETEUSZA I PERLICZKĘ” (opr. brosz., c. 21, nakł. 10.000) — powieść o początkach kariery artystycznej i o nieudanym pierwszym małżeństwie R. Wagnera.

LSW w cyklu „Dzieje Polski” wznowiła „HAJBUZĘ” J. I. Kraszewskiego (opr. płóc., c. 21, nakł. 35.000), a Wyd. Literackie „MURDELIA” Z. Kaczkowskiego (w dwóch tomach, opr. brosz., c. 21, nakł. 10.000).

Nowinkarz

NAGRODY

Listopada Poetyckiego

Nagroda Listopada Poetyckiego przyznawana corocznie z okazji Ogólnopolskiego Festiwalu Młodej Poezji za najciekawszy książkowy debiut poetycki przyznana została w tym roku zmarłemu tragicznie poecie Andrzejowi Bursie za tom pt. „Wiersze”.

Wyróżniono następujące zbiory wierszy: „Moje i twoje” — Jacka Łukasiewicza, „Wszystko jest obok” — Irenusza Iredyńskiego, „Hymn bałwochwalczy” — Haliny Poświatowskiej, „Wiersze” — Teresy Sochy-Lisowskiej.

W skład jury wchodził: Zbigniew Bieńczycki, Mieczysław Jastrun, Artur Miedziński, Julian Przybos (przewodniczący), Adam Ważyk.

W Turnieju Jednego Wiersza dla poetów nie posiadających jeszcze własnego zbioru wierszy jury w składzie: Zbigniew Bieńczycki, Stanisław Grochowiak, Małgorzata Hillar, Tymoteusz Karpowicz, Julian Przybos (przewodniczący) przyznało i nagrodę — Marianowi Grzechackowi (Poznań), II nagrodę — Edwardowi Stachurze (Lublin), III nagrodę — Januszowi Jęczykowski (Warszawa).

Księgarskie nowalijki

W największych nowościach wydawniczych autorów polskich przeważa zdecydowanie retrospekcja — widzimy tu sporo pamiętników. Np.: pamiętnik ministra M. Lesza — to musi być interesujące! Właśnie w MON-ie został wydany pod tytułem „TRUDNE DROGI” (opr. brosz., c. 21, nakł. 5.000), a obok wielu plastycznych portretów współtowarzyszy walki autora o so-

Rysunki w numerze:
Włodzimierz Borowski

pietyzmu poglądów dramaturga należy złożyć fakt omawiania poszczególnych inscenizacji na szeroko zarysowanym tle społecznym i geopolitycznym. W ten sposób książka staje się kompendium wiedzy o Polsce od r. 1949, a to z pewnością przyciemnia podstawową problematykę.

Słowo otwierające i zamykające ujmujące w klamrę obfity materiał źródłowy i analityczny, uporządkowany w ramach każdego rozdziału według luźnego schematu, którego ostatnim punktem jest podsumowanie wyników badań nad daną inscenizacją. W pracy zamieszczono 72 tablice, zawierające zdjęcia scen zbiorowych, fototyposzczynek wykonawców, projekty dekoracji, dekoracje, projekty kostiumów, afisze i programy.

Dla ludzi interesujących się teatrem pożytek z poznania tego dzieła wydaje się bezsporny.

Józef Smosarski

Uczymy się patrzeć na obrazy

Pomaga nam w tym książeczka Neli Samotyhowej „Patrzymy na obrazy” wydana przez „Naszą Księgarnię”. Pokazała się niepostrzeżenie i dość niepostrzeżenie znikła z witryn. To dobry znak. Nie tylko jako świadectwo zainteresowania się plastyką, bo tą interesuje się i czasem snobizuje raczej wyższa inteligencja, która poluje głównie na albumy ozdabiające dumnie biurko, lecz przede wszystkim jako nadzieja na podniesienie poziomu rozumienia malarstwa.

Bo skądże ma się tzw. przeciętny człowiek nauczyć we właściwy sposób patrzeć na obrazy, jeżeli nigdzie tego nie uczy poza szkolnictwem plastycznym. Rysunek, traktowany zresztą po niacoszemu, to jednak inna dziedzina. Samotyhowa w sposób prosty od podstaw prowadzi nas ku najważniejszemu „arkanom” sztuki plastycznej. Jej broszura — to jakby stenogram zajęć i rozmów z czteroosobową grupką dzieci. W ten sposób autorka nie tylko dostarcza pewnego, niezbędnego dla każdego człowieka quantum wiadomości, lecz również daje wzorzec prowadzenia zajęć, wzorzec, na którym niedoświadczeni instruktorzy plastycznych zespołów mogą oprzeć się dosłownie lub traktować go jako przykład.

Korzystanie z książki ułatwia 30 reprodukcji obrazów omawianych w tekście, luźno dołączonych, pozwalających więc czytać tekst z obrazem przed sobą. To nie jest szablonowy wykład o największych naszych malarzach z Matejką na czele, naszpikowany datami i życiorysami. To zreczne naprowadzanie poprzez pytania — dzieci same uczestniczą w „lekcji”, nie tylko słuchają biernie, a na poszczególne elementy obrazu. Dowiadujemy się więc o różnicę między oryginałem a reprodukcją, o podziałe na różne dziedziny sztuki, o sztuce użytkowej, o potrzebie zajmowania się sztuką. Potem autorka wprowadza nas w takie zagadnienia, jak temat i treść obrazu, w możliwości różnych przedstawień i ekspresji, tłumaczy to, co mówią linie, barwa i światło, sposób kładzenia farby, dobór poszczególnych elementów i kompozycja, uczy, co to jest malarstwo, realizm... Na koniec autorka zadaje dzieciom pytania, które obrazy najbardziej im się podobały. Okazuje się, że te, które każde z nich miało za temat ęwieczeń. Stąd jakby wniosek, że „znawstwo artystyczne jest sprawą smaku, wyrobienia i wiedzy. Dobry smak rzadko bywa cechą wrodzoną, należy go kształcić i rozwijać. Przede wszystkim trzeba oglądać obrazy zgromadzone w muzeach i galeriach, oglądać reprodukcje dzieł wielkich mistrzów i dobrych malarzy współczesnych”. Więc żeby coś się podobalo trzeba umieć odkryć w tym piękno, umieć ocenić, znać specyfikę danej sztuki i środki wyrazu. Uczy nas tego broszura Samotyhowej, pozycja dość odosobniona w naszej literaturze plastycznej. Należy tylko oczekiwać jej następnego, jeszcze ulepszonego wydania i dalszej serii dla bardziej zaawansowanych.

Z. J.